

W. Jme Tama radcy
Haburra ofiaruje
dowód głębokiego pow
rania
autor.

Z NIWY ŚLĄSKIEJ



JAN KUBISZ

Z NIWY ŚLĄSKIEJ

WIERSE

JANA KUBISZA



J. Kubisz

LWÓW

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

CIESZYN

WARSZAWA

TOW. EWANG. OŚWIATY LUDOWEJ KSIĘGARNIA S. SADOWSKIEGO

1902

SL 11616

348091

I

k.-73/7121

26.4. 110-



Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki

SŁOWO WSTĘPNE.

Z zapisu ś. p. Franciszka Górniaka wychodzą obecnie drukiem wiersze poety śląskiego, Jana Kubisza.

Nazwisko to zwiedzającym Księstwo Cieszyńskie nie obce wcale. W. Szukiewicz wspomina je w swych wrażeniach z wycieczki na Śląsk (Śląsk Cieszyński, Lwów 1893, str. 4), pisał o nim dość obszernie w rozprawie o stosunkach śląskich Jan z Borku (prof. Kukucz w sprawozdaniu wiedeńskiego «Ogniska» 1895), mówi o nim z zajęciem Marya Wyslouchowa w zajmujących listach z «Niwy śląskiej», drukowanych w «Tygodniu» lwowskim, a Fr. Rawita poświęcił mu dłuższy artykuł w «Przełomie» wiedeńskim (1896). W samem Księstwie Cieszyńskiem imię Kubisza jest znane powszechnie, a jego piosnka p. n. «Nad

Olzą» (ob. str. 97) jest ulubionym śpiewem śląskim, z którym w każdym zakątku tego małego kraju łatwo można się spotkać.

Popełniłby niemały błąd ten, ktoby w poezjach Jana Kubisza chciał szukać tej doskonałości formy, do której doszła za czasów naszych poezya polska, i autor, wydając zbiorek niniejszy, wie o tem dobrze. Spotykając się z nim często i szcząc się jego przyjaźnią, słyszałem niejednokrotnie z ust Jana Kubisza słowa żalu, że los nie pozwolił mu kształcić się więcej, ani też nie zaprowadził go do żadnego z ognisk życia umysłowego polskiego, że życie całe upłynęło mu w małej wiosce śląskiej, gdzie brakło wykształconego towarzystwa, dobrych książek i tych wszystkich podniet, którym rycerze pióra zawdzięczają zazwyczaj rozwój swego talentu.

Twórczość Jana Kubisza, jak się o tem czytelnik przekona z tomiku, który oddajemy mu do rąk, jest zupełnie samorodną, wzorów poeta miał bardzo niewiele, a i warunki, w których wychował się i wzrósł, zupełnie nie zachęcały do takiej pracy nad sobą, jakiej potrzeba było, aby talent niewątpliwy mógł się należycie rozwinąć i dojrzeć.

Jan Kubisz urodził się 24 stycznia r. 1848

we wsi Końskiej niedaleko Cieszyna (obok Trzyńca) nad Olzą w domu niezamożnego włościanina, który oddał go do szkół w Cieszynie. Tu uczył się w latach 1860—1865 w gimnazyum ewangelickiem, poczem na klasie IV przerwał nauki gimnazyalne, choć mu one szły łatwo i dobrze, i powrócił pod strzechę ojczystą.

Językiem wykładowym w ówczesnem gimnazyum ewangelickiem, podobnie jak i w katolickiem, które złączone z tamtem, tworzy dziś państwowe gimnazyum niemieckie w Cieszynie, była niemczyzna, a choć ówczesne grono nauczycielskie wolne było od tych dążeń germanizacyjnych, jakimi odznacza się dziś inteligencya niemiecka na Śląsku, to jednakże pod wpływem otoczenia młody Jan Kubisz czuł się po ukończeniu czterech klas gimnazyalnych Niemcem — te dążenia narodowe, których przedstawicielem niemal jedynym był wówczas w Cieszynie redaktor «Gwiazdki Cieszyńskiej», Paweł Stalmach, były mu obce. Od zniemczenia zupełnego chroniła go modlitwa w języku polskim i «Postylla ks. Samuela Dambrowskiego», książka polska, nieodstępny (obok Biblii) towarzysz każdego polskiego ewangelika na Śląsku.

Rok spędzony w Końskiej po wystąpieniu

z gimnazyum, zdecydował o usposobieniu narodowem Jana Kubisza. Tu zetknął się z rolnikiem, Jerzym Buzkiem. Buzek, kilkunastu laty starszy od Kubisza, wystąpił z gimnazyum po ukończeniu klasy VI z powodu choroby, i już więcej do szkoły nie powrócił, zabrawszy się do uprawiania ojczystego zagona, ale kształcić się nie przestał, czytał dużo, a książki otrzymywał od brata, zatrudnionego w jednej z księgarni lwowskich. Buzek czuł i myślał po polsku i w tym też kierunku oddziałał na młodego przyjaciela, którego uratował od utonięcia w morzu niemieckiem.

Po roku pobytu w domu rodzicielskim Kubisz zapisał się do zakładu kształcącego nauczycieli ludowych, czyli t. zw. preparandy w Cieszynie, gdzie w latach 1867 i 1868 ukończył kurs dwuletni, poczem po krótkotrwałej praktyce nauczycielskiej w szkole ewangelickiej w Cieszynie otrzymał miejsce w szkole ludowej w Gnojniku (obok Końskiej, przy drodze kolejowej z Cieszyna do Frydku) i tu na cichej pracy nauczycielskiej upłynęło mu lat kilkadziesiąt, tu zjednał sobie miłość i przychylność ludu, tu ożeniwszy się przeżył dni szczęścia i smutku, gdy w r. 1901 pochował po dwudziestu latach pożycia ukochaną

żonę, a na kilka lat przedtem dziesięcioletniego syna, do którego wielkie przywiązywał nadzieje.

W ruchu narodowym, którego widownią było Księstwo Cieszyńskie w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, Jan Kubisz brał zawsze udział czynny.

Najważniejszym ogniskiem tego ruchu była przez długie lata Czytelnia ludowa w Cieszynie, w której gromadziło się to szczuplutkie grono inteligencji polskiej, które pracowało nad odrodzeniem narodowym Księstwa Cieszyńskiego. Jako członek Czytelni Kubisz wraz z przyjaciółmi swymi, kierownikami Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie, Hilarym Filasiewiczem i Adamem Sikorą, organizował przez długie lata przedstawienia amatorskie, które zgromadzały ludność polską z całego Śląska, urządzał doroczne obchody w rocznicę śmierci Adama Mickiewicza, które zagajał przemówieniami, nie usuwał się od żadnej pracy zbiorowej, której mógł się przydać pracą lub radą.

Wiersze Jana Kubisza były wynikiem tej właśnie jego pracy obywatelskiej. W przeważnej części mają one charakter okolicznościowy, agitacyjny, bo zazwyczaj w tym celu były pisane. Wiedzano, że Kubisz lubi pisać wiersze i że mu to przychodzi z łatwością, a był jubileusz Czy-

telni ludowej, więc go proszono o wiersz. Kubisz wymawiał się i wypraszał, ale ostatecznie na obchód przyszedł z wierszem (ob. str. 33), w którym tłumaczył rolę Czytelni w dziejach odrodzenia narodowego śląskiego — zakładano gimnazjum polskie w Cieszynie, więc je powitał wierszem: «Woda ze skały» (ob. str. 145) — była inna jakaś uroczystość, to czytał «Syna Marnotrawnego», przedstawiając w nim te sidła, jakie germanizacya zastawia na Śląsku na młodzieńca polskiego, który kończy szkoły, a zarazem kreśląc tę walkę duchową, którą stoczyć musiał ze sobą każdy Ślązak, przyznający się dziś do polskości.

Rozczytanie się w poezjach Mickiewicza, Syrokomli, Pola i Romanowskiego pogłębiło w duszy Kubisza miłość tej Polski, od której Śląsk przed wiekami został oderwany i rzucony na pastwę wynarodowienia, a do której jednakże, dzięki wstrząśnieniom r. 1848, począł wracać, począł żyć jej życiem i duchowo się z nią zespalać.

Nie myślę wdawać się w szczegóły, które każdy czytelnik łatwo spostrzeże, aby wykazać wpływ wymienionych poetów na utwory Kubisza. Jest on tem znaczniejszy, że ich poezye były obok Biblii i Dambrowskiego jedynemi znanemi Kubiszowi książkami polskimi, a jedynem pismem,

z którego czerpał skąpe wiadomości o tem, co się działo w ziemiach polskich, była Stalmachowa «Gwiazdka Cieszyńska», jedyne przez lat kilkadziesiąt pismo śląsko-polskie.

Czytelnik zauważy łatwo w poezjach Kubisza wiele wyrazów wziętych żywcem z dyalektu śląskiego. Jest to rzecz całkiem naturalna, gdy się zważy, że dyalektem na Śląsku mówi nietylko lud, ale i miejscowa inteligencja. Inteligencja ta: Stalmachowie, Cieńciałowie, Michejdowie, Kubisze, Londzinowie, Buzkowie, Glajcarowie, Kukuczowie, Macurowie, Farnikowie i inni, wyszła z ludu, w szkołach uczono ją po niemiecku, a jeśli uczono ją języka polskiego, to nauczyciele tego języka sami nie umieli po polsku, to też językiem polskim był dla nich dyalekt ludowy, który pozostał językiem życia potocznego nawet wtedy, gdy przez dzienniki i książki oswoili się z językiem ogólnopolskim. To oswojenie się przyszło daleko łatwiej tym, którzy mieszkali w miastach, gdzie częściej nadarzała się sposobność zetknięcia z rodakami z innych ziem polskich. Kubisz życie całe, za wyjątkiem sześciu lat szkolnych, spędził na wsi, z ludem w życiu codziennem, w szkole, na posiedzeniach kółka rolniczego, w którem pracował gorliwie, mówił zawsze dya-

lektem, więc też dyalekt śląsko-polski jest dlań tym językiem, którym rozmawia sam z sobą, a choć przyswoił sobie dobrze język polski książkowy, to jednakże nie może pozbyć się niektórych wyrazów i zwrotów gwarowych.

Wiedząc o tem, że Kubiszowi niewiele już pozostaje lat pracy w szkole, że niedługo otrzyma emeryturę, zapytałem go kiedyś, czy przeszedłszy na emeryturę osiedzie w mieście, zwłaszcza, że osiedlenie się w mieście ułatwiłoby mu wychowanie kilkorga dzieci. Odpowiedział mi Kubisz, że zanadto się zżył z życiem wiejskiem, które, nie znając zresztą ani *Georgik* Wergiliusza, ani *Ziemiaństwa* Kajetana Koźmiana, opisał w poemacie p. n. *Dwa dni* (ob. str. 3 i nast.) — nie chce on rozstać się z tymi łąkami śląskimi, które ukochał całą mocą swego czystego serca i szlachetnej duszy, duszy poety «z Bożej łaski», a zważonej życiem w warunkach nie sprzyjających jej rozwojowi, hamujących jej wzloty.

Zbiór niniejszy obejmuje tylko część utworów Kubisza. Wiele z nich autor odczuwający ich braki rzucił na pastwę ognia, wiele zatrzymał w tece, twierdząc, mimo odmiennego zdania przyjaciół, że ich drukować nie warto. Nadto dość obfity zbiór przekładów wierszy ewangelickiego

teologa i poety, Karola Geroka (ur. 1815 † 1890), dokonanych przez Kubisza, zamierza wydać osobno Towarzystwo ewangelickie oświaty ludowej w Cieszynie, wobec czego pominęliśmy je w tym zbiorze.

Poezye Kubisza wydane zostały obecnie nie jako utwory artystyczne, nie jak dorobek literacki chwili — ogłasza się je jako dokumenty życia narodowego polskiego w Księstwie Cieszyńskim w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, jako wyraz uczuć, przekonań, a i bólów tego pokolenia śląskiego, którego praca zapoczątkowała odradzanie się narodu prastarej dzielnicy piastowskiej. Uwagę tę, jako komentarz do książki niniejszej, uważamy za niezbędną.

Poezye Kubisza mają nadto jeszcze doniosłe znaczenie jako objaw polskiej literatury ewangelickiej. Faktem jest, że w Księstwie Cieszyńskim mieszka 70.000 ewangelików, których językiem ojczystym jest język polski i wśród których wzrasta poczucie przynależności do narodu polskiego. Poczucie to znalazło wyraz w poezyach Jana Kubisza, który uważa się za prawowitego ewangelika i za Polaka, odczuwającego dolę całego narodu. Zjawiska tego, ze względów ogólnonarodowych lekce sobie ważyć nie można.

Ksiądz Franciszek Michejda w broszurze p. n. «Ewangelicy Polscy» (Cieszyn, 1900, str. 35), mówiąc o fanatyzmie narodowym niemiecko-pruskim, który pod hasłem «Zerwać z Rzymem» sprzysiągł się na zagładę polskości, powiada: «My polscy ewangelicy mamy... podwójny obowiązek Raz musimy przeciw takiemu narodowemu fanatyzmowi, takiemu na wskrós niechrześcijańskiemu tępieniu narodowości, takiemu zupełnie nieewangelickiemu, pogańskiemu panowaniu i prawu pięści mocniejszego przeciw słabszemu w imieniu ewangelii protestować. Musimy zaznaczyć, że takie barbarzyńskie postępowanie ewangelickiego (pruskiego) narodu i społeczeństwa przeciw własnym współobywatelom, jest moralną klęską dla kościoła ewangelickiego. Powtóre musimy głośno stwierdzić, że wyznanie i kościół ewangelicki a narodowość niemiecka nie są identycznymi, lecz całkiem odrębnymi pojęciami. Mimo wielkich zasług narodu niemieckiego około kościoła i wiary ewangelickiej, wiara ewangelicka i kościół ewangelicki nie są żadnym niemieckim kościołem ani wiarą niemiecką, tak samo jak chrześcijaństwo nie jest żadną religią żydowską, aczkolwiek poszło z żydów. Kościół ewangelicki jest powszechnym kościołem chrześcijańskim jak każdy inny.

Gdy polscy ewangelicy oświadczą się wiernymi synami narodu swego, podziela z nim jego dobre i złe losy, z nim żyć, czuć, walczyć, cierpieć, dla niego pracować będą, wtenczas z pewnością zajmą wiara i kościół ewangelicki poczesne stanowisko wśród polskiego narodu i znajdą przychylność wśród społeczeństwa, które w nich uzna i uszanuje kościół i wiarę swych braci».

Te słowa przywódcy ewangelików polskich na Śląsku są wyrazem przekonań Jana Kubisza, wyrażonych w poezjach, przez które społeczeństwo polskie będzie mogło się z nimi zapoznać, co, jak powiedziałem, ze względów ogólnonarodowych jest bardzo doniosłe. To też był wzgląd, dla którego podjęliśmy się pracy nad wydaniem zbioru wierszy Jana Kubisza.

W ten sposób spełnia się życzenie jednego z wybitnych ewangelików polskich na Śląsku ś. p. Franciszka Górniaka († 1899), który, nie mogąc za życia, płodnego w pożyteczne czyny dla dobra ludu polskiego na Śląsku, doprowadzić do skutku swego zamiaru, przeznaczył testamentem fundusz na wydanie niniejszej książki. Niech więc będzie ona także wieńcem na jego mogiłę.

Cieszyn w maju 1902.

Kazimierz Wróblewski.

I.

DWA DNI

DWA DNI.



I.

«Módl się i pracuj».

Bracia moi! żądacie odemnie powieści,
Lecz jeżeli śmiem zapytać, jakiejż ma być treści?
Chcecie, żebym wam bąał o dawnych wypadkach
Ziemi naszej, o wielkich sławnych mężach, świadkach
Przeszłości naszej? O, do tej pracy nie czas jeszcze;
Do tej pracy potrzebne są nam siły wieszczel!
Da Bóg dobry, że kiedyś i na naszej ziemi
Powstanie śpiewak, który pieśniami swojemi
Zdoła to wypowiedzieć, co dusza odczuła.

Ja wam raczej opowiem, co mi raz gąduła
Stary powiadał; prostą rzecz, jak tam bywało
W czasach jego młodości, wszystko, co się działo
W domu naszym, na roli, w robotny dzień, w święta.
Wy, rówiennicy moi, któryż nie pamięta
Z was, starego Jakóba, co tak rad przebywał
Z dziećmi i bajki prawil lub piosenki śpiewał.
Często na brzegu Olzy z nami przesiadywał

I, wzrok łzawy, stęskniony zatopiwszy w wodę,
Dumał; a patrząc na to, nasze twarze młode
Mimowoli smutniały, jak gdyby odczuły
To, co się działo w duszy starego gaduły.

I były te łzy starca, ten smutek, westchnienia
Ową siłą tajemną, co bujnie rozplenia
Słowa, jak zasiew, a te na ziemi ojczystej
Wydają plon obfity, plon dobry i czysty.

Raz pamiętam, było to w majową pogodę,
Siedzieliśmy nad Olzą — starzec patrzył w wodę
I dumał, jakto w jego bywało zwyczaju;
Na drugiej stronie rzeki we wierzbowym gaju
Śpiewał słowik; pieśni tej z pod niebios sklepienia
Wtórowały skowronki. A te ptasząt pienia
Jak głos błogosławieństwa Bożego spłynęły
Na ziemię i całą też Bożem ogarnęły
Błogosławieństwem. Starzec w przyjemnym zachwycie
Patrzył na pola, gaje, na słońko w błękicie
I słuchał ptasząt pieśni. Łzy mu się strumieniem
Rzuciły, z za łez oko jaśniało płomieniem —
A kiedy się wpatruję w niego ze zdziwieniem,
Spojrzał na mnie i rzekł mi: «Moje łube dziecię
Dziwisz się, że ja płaczę, choć ślicznie na świecie;
Dziwisz się, że ja płaczę, a w twem młodem sercu
Tak rozkosznie, tak cudnie, jak na łąk kobiercu.

Twoje serce — to jasna, słoneczna dnia pora;
Moje zaś jakby wieczór, a wiesz, że z wieczora,

Kiedy słońce zachodzi, to rosa niebieska
Zwilża kwiaty, świeci się, jak radości łezka.
Otóż u mnie tak samo: widok pól ojczystych,
Śpiew ptaków tak rozkoszny i szum tych fal czystych
Na moje stare oczy łzę ciśnie radości.
I to też jest jedyną rozkoszą starości
Mojej, za którą Bogu niechaj będą dzięki!
O! bez niej, moje dziecię, jeden, samiuteńki
Z moich na świecie, byłbym bardzo opuszczony;
Byłbym smutny, jak kwiatek gradem pozbawiony
Ozdoby swojej, którą tak cudnie się mieni,
Lub jak niebo odarte z słonecznych promieni.

Ziemio moja ojczysta! w twych grobach złożeni
Leżą ojciec i matka, wszyscy krewni moi;
Tutaj tyle pamiątek z lat dziecinnych stoi;
Tutaj mową ojczystą brat z bratem się wita,
A na wdziękach tej mowy piosenka wykwita,
Piosenka miła — jej dźwięki z taką płyną
Mocą w starą pierś moją i grzeją jak wino,
Że mi wtenczas tak lubo, miło i radośnie,
Ze się czuję jak kiedyś w mojej życia wiosnie.
I jabym cię nie kochał — nie kochał tej ziemi,
Co mi radość takową sprawia i takimi
Uczuciami pierś żywi... Może być, że inni
Nie tyle, co ja, czują — sami sobie winni!...»

Powiedziawszy, umilknął, wzrok spuścił ku ziemi
I zadumał się znowu. A znać, że smutnemi
Myślami był zajęty, bo westchnął głęboko,

A potem łyzy otarłszy, których pełne oko,
Rzekł dalej: «Kiedy patrzę na chaty, to one
Tak zdają mi się święte, tak błogosławione,
Jak domy Boże... A ludzie? O ty, lube dziecię,
Jakżebym życzył sobie, by również ich życie
Było świętem...

Już sobie powiedziałem nieraz,
Ze tu u nas, jak dawniej, nie dzieje się teraz;
Zdaje mi się, że dzisiaj gorszy świat, że ludzie
Zboczyli z drogi cnoty i w gładkiej obłudzie
Gonią po drodze życia za znikomym zyskiem
W samolubstwie serc własnych, z skrytem pośmiewi-
Dla braci, którym w szczęściu potknęła się noga; [skiem
Że wśród swojej wielkości zapomnieli Boga,
Że w ślepem uniesieniu najświętsze zniszczyli
Węzły, jak gdyby sami na świecie tu byli...
Niestety! a oni są tych ojców synami,
Co śpią tu pod tą ziemią, a nad ich grobami
To samo niebo sklepi swe błękity czyste,
To samo niebo dzieci i groby ojczyste
Oświeca...

Może było i w mojej młodości
Tak samo, a tylko w pomroku starości
Wszystko inaczej memu przedstawia się oku,
I to, co przeminęło, ma więcej uroku.
Wszak i przeszła godzina piękniejszą się zdaje
Od tej, która obecnie powoli nastaje.
Czemu? bo ona przeszła, a nasze wspomnienie

Czem dłuższe, tem w cudniejsze zapada się cienie,
Jak cienie nocy letniej — gdzie promień miesiąca
Owem czuciem rozkosznem o serce nam trąca,
A wszystko blaskiem stroi.

Ale nie chcę sądzić,
Bom i ja nie bez winy i ja mogę błdzić,
Jako i inni błdzą; to prawda, a przecie
Mówi mi głos wewnętrzny, że dzisiaj na świecie
Inaczej.

Nie zapomnę ja nigdy — bywało
W lecie naprzykład, nim słoneczko wstało
Z złotych chmur, a na płocie zadzwoniła nuta
Hałaśliwa, przeciągła rannego koguta,
Jak dzwonka domowego — już ojciec z komory
Wyszedł i zbudził sługi: do stajni, obory
Zajrzał i po podwórzu przeszedłszy się wkoło,
Wrócił do izby z twarzą spokojną, wesołą,
Nabrał wody w garnuszek, wziął do ust, na dłonie
Lał i umywał oczy, czoło, lica, skronie,
Usta zaś na ostatku; a następnie bierze
Ręcznik gruby (a płótno było białe, świeże),
I obciera nim ręce, twarz; potem grzebieniem
Uczesał skromnie włosy — nareszcie z westchnieniem
Kłęką przy białej ławie i modli się cicho.

O! tutaj cię nikt nie zna, obrzydliwa pycho,
Co jakiś wstyd fałszywy, jak truciznę, wlewasz
W serca ludzi i która z modłów się naśmiewasz;

Z skromną i ufą duszą i sercem stroskanem,
Gnie lud wiejski kolana codziennie przed Panem!
I mój ojciec się modlił po cichu i długo;
A słońce, co już zeszło, swą złocistą strugą
Musnęło z lekka głowę i te ciche modły,
Jasne, czyste promienie przed tron Boga wiodły.
Potem wstał i wziął książkę, otworzył nabożnie
I zaśpiewał pieśń...

Tymczasem cicho i ostrożnie
Weszła matka i słudzy i każdy z kolei
Za ojca przykładem w ufności, nadziei
Kłęka i Ojcu w niebie składa dziękczynienie
Za noc cichą i ze snu szczęsne przebudzenie,
I oddawszy z ufnością swe życie, kłopoty
I całą dolę Bogu — idą do roboty.
Każdy ma swoją pracę: dziewczki do krów idą
I spieszą się, bo krówki na paszę wynijdą,
A pasterz, choć ospały, już stanął gotowy,
Trzaska z bicza i woła: «Spuszczajcie mi krowy,
A nuż, prędko, prędko». — Lecz ledwie z podwórka
Wyszła trzoda, już piosnkę: «Za górami torka»
Śpiewa opóźnionemu sąsiada pasterka!
Jakżeż miła ta uchu piosenna rozterka,
Kiedy piosnki pasterzy dźwięczą po dolinie,
Które echem podaje olszyna olszynie!

Matka, jak zwykle, krząta się koło śniadania.
Ojciec poszedł doglądać — bo jest dogładania
Dosyć, kiedy gospodarz tylko pilny, dbały:

Czy też konie obroku sownie dostały,
Czy dobrze oczyszczona sierść się na nich świeci,
Czy też, gdy dłońią kłaśnie, proch w górę nie leci:
Bo czystość i porządek połową obroku,
A najlepiej zaufać jest własnemu oku.
Potem odszedł sporządzić pług ostry i brony
Zębate, bo dziś miały ostatnie zagony
Przyjąc resztę zasiewu pod skiby spalnione.

36) Zwykle ostatnie siewy bywają skończone
Na świętego Urbana; nawet się już śmieją,
Żartując, że ze Świętym na połowę sieją.
Ale u nas tatarki trójkoronne ziarna
Jeszcze czerwca czekają, tak, że gospodarna
Pszczoła w późnej jesieni zbiera swe zapasy
Zimowe ze śnieżystej, wonnej hreczki krasy.
Dziś miano siać pogankę.

Właśnie też z komina
Dym, jak chmurka znikoma, przezroczysta, sina,
Rzedniał i trząsł się, czasem jeszcze z rzadka
Zaczerniał się i zniknął: znak pewny, że matka
Śniadanie dowarzyła. Już dzieci z pościeli
Zbudziła i umyła; jak aniołki w bieli
Uklękły i drobniuchne rączęta złożyły,
I nabożnie za matką «Ojcze nasz» mówiły,
Kończąc go znakiem krzyża na niewinnem czole.
Śniadanie już też stało gotowe na stole;
Przyszli wszyscy, westchnąwszy, dokoła usiedli,
Ojciec na pierwszym miejscu, i w milczeniu jedli.

Po śniadaniu na pole. Parobek, jak może,
Śpieszy się, by wyprzedził dziewczki na ugorze,
Bo one też w lot pędzą... Ojciec znów szedł zwolna.
I zaczęła się praca ciężka i mozolna,
Lecz choć trud siły pręży, pot się z skroni leje,
Jednak oko wesołe radością się śmieje,
A czyste serce skacze i przez szczere usta
Leci w wonne powietrze pioseneczka pusta.
A ptaszek ją pochwycił, co sunął przelotem,
Motylek ją usłyszał i skrzydełkiem złotem
Poleciał cichuteńko na kwiatki i zioła
Zbudzić wietrzyk, co tam spał i zaraz od siola
Nadleciał i ochłodził palające czoła.
A słońce, co szło wyżej, coraz wyżej w górę,
Z swym palącym promieniem skryło się za chmurę,
A z chmurą jeszcze wyżej aż nad Jaworowym
Stańło, mając drogi niebieskiej połowę:
Południe.

I zaraz też z naszego kościoła,
Co szeregim topoli otoczon dokoła,
Odezwał się głos dzwonu, a płynąc przez błonie,
Zakończył miłym dźwiękiem półdzień na zagonie,
Więc też, jak gdyby na znak, dźwięknęły motyki,
Parobek zaciął konie; z kępy słychać ryki
Krów wierzgających, otoczonych pyłem:
Cisną się ciasną drogą i pędem zawiłym
Biegną ku studni; pasterz zaś za niemi zdala,
Łając, krzycząc, kuleje; a tu śnieżna fala
Gęsi syczących zwolna w podwórzu się wije

Jak kłęb wężów, co setne wznosi w górę szyje;
Wita ich głośny kogut swych skrzydeł zamachem,
Tu cień mignął po ziemi: chmura ponad dachem
Srebrnopiórych gołębi na mgnienie uwiła:
Świst przeciągły, szum — chmura na dach się rozpry-
I wszędzie miły hałas, o! bo tym hałasem [sła
Wieśniak na wsi oddycha.

A ojciec tymczasem
Siadł sobie w cieniu gruszy, bo tam w izbie muchy
Dokuczały. A nad nim na gałązce suchej
Szczebotała jaskółka (lud wiejski powiada,
Że ona z pobożności na innej nie siada,
Tylko zawsze na suchej). W cichem zadumaniu,
Zdawał się przysłuchiwać temu szczebiotaniu
Spoczywając; a dzieci skoro go spostrzegły,
Z krzykiem, śmiechem, hałasem do niego przybiegły,
Na szyję i kolana mu się zawieszały,
I jako jaskółeczki mile szczebotały.

Lube życie wieśniaczek! Na łonie natury
Płyną chwile twe złote w prostocie, wśród której
Uśmiechnięty, serdeczny, słodki urok życia
Pierwotnego wychodzi ze swego ukrycia.
Tu piękność nie fałszywa, tu miłość prawdziwa
W sercu czyste uczucie, a w duszy myśl tkliwa;
Tu gdy westchniesz — westchnienie leci wprost w nie-
Gdy zapłaczesz — twoja łza upadnie, jak rosa [biosą
Na kwiaty, a słońce, co wyjrzy z obłoka,
Nie dozwoli tęsknocie zwilżać twego oka!

Tutaj skromnie, a przecież tak cudnie, bogato!
Tu niema uciech świata, rozkoszy, — lecz za to
Śliczna noc wysrebrzyła firmament ściemniony;
Dziesięć zorza poranna wywodzi z zasłony
Różowej, powitany głosem życia, chórem
Niby ślicznej muzyki, która trwa, aż torem
Jasnym pośród błękitów zanurzy się słońce
Za góry — a wystąpią cmy kształty trwożące...

Zasiedli do obiadu. Na czerwonym stole
Stała misa kapusty światłej, a zaś w kole
Zajmowali ziemniaki wonne stanowisko.
A gdy to zjedli, przyszła matka z małą miską,
Nastawiła i świeżej maślanek nalała,
W której perła za perłą złocistą pływała:
Gdzie się krupkami masła nabiał gęsto mieni,
Znać, że dla sług życzliwa dobra gospodyni.
Jedli wspólnie: maślanek łyżką, a zaś kruchy
Ziemniak w palcach trzymali; z dziewczek jedna muchy
Natrętnie odpędzała szeroką liścianą
Ogonką.

Po obiedzie się śpiesznie udano
Do zajęć domowych, jak to zwykle w domu
Na wsi bywa. — Parobek zdrzemnął się na słomie,
Jakby w takt kołysany obroku chrupaniem,
Jakby piosnką uspiony siwoszów parskaniem:
Zrywa się, bo ostatniem żdziebłem koniczyna
Wonna schodzi zza jaseł, a druga godzina
Dolatuje odgłosem dźwięcznym od kościoła;

Za nim dzwonek we dworze już do pola woła.
Znów stają na ugorze, czarne skiby porzą,
By je dobrze dorobić, wszelkich sił dołożą.
Nikt ich tam nie pilnuje, nikt ich nie pogania,
Chmura za nimi stoi, co słońce zasłania,
Lecz ta chmura nie siada na czoła spocone,
Niechęcią się nie stroi oko rozjaśnione.
Ochoczo i uczciwie pracują na roli,
Bo dola gospodarza jest częstką ich doli.

Stanął ojciec na zagon skopany, i w worze
Dźwiga trójgranne ziarna w najlepszym wyborze.
Nabrał garść, machnął ręką i po szarej ziemi
Kreśli najpierw trzy krzyże ziarnkami czarnymi,
Które Bóg mile przyjmie; potem po zagonie
Szedł, zwolna siejąc; za nim śpieszą rącze konie,
Ciągąc brony zębate, co ostrem żelazem
Ryją grób małym ziarnkom i grzebią je razem.

Kopią - sieje

Słońce się coraz bardziej zniża na pagórek;
Wychodzi matka z domu, niosąc podwieczerek:
Chleb razowy, a na nim wznosił się ser biały,
Jak się wznosi nad ziemią pagóreczek mały.
Przyszła i chleb rozdała, biorą z wdzięcznem okiem,
I rękawem pot z czoła, co się lał potokiem,
Otarłszy, siedli w bródę spożywać dar Boży.
Nad nimi wzlata w niebo skowroneczek hoży,
A rozkoszną piosenkę rzucając im z nieba,
Żąda w zamian choć małą odrobinę chleba.

7)
Już słońce za olszynę chyli się, już tonie
W liściu drzew; a olszyna cała ogniem płonie,
Jak gdyby ją trzymały w objęciu pożary;
Lecz już blednie, sinieje, a słońce przez szpary
Drzew resztę drżących powściąga promieni.
Już zaszło. Jeszcze zachód zorzą się rumieni;
Zwolna blednieje, nocy zapada zasłona
Gwiazdami haftowana, a na chmurach kona
Ostatni śpiew skowronka, co w powietrznej jeździe
Spóźnił się i usiada na zroszonym gnieździe.
Zabrzękneły motyki; brzmia długo, bo w wietrze
- Wieczor^{em}ym tak prędko oddźwięk się nie zetrze;
Trzasnął bicz, trzask powtarza echo niewidziane;
Dźwięczą głośno podkowy w nocny zmrok odziane.
W podwórku już się wszystko ciśnie i uwija,
A do wrzawy swój głosik miluchny zawija
Dzwonek, co dzień pracy zakończył wieczorem
Spoczynku... Ojciec idzie z wypróżnionym worem
Zwolna, nucąc pieśń: «Wszystkie nasze dzienne sprawy»,
A księżyc jego postać na rosie wśród trawy
7)
- Rysuje i postać promieńmi miesiąca
Osrebrzona szła cicha, święta i modląca.

Zwołano do wieczerzy. Wszyscy siedli kołem
Na trawniku przy misce, jak gdyby za stołem
Bogatym: bo się błyszczał rosy kropelkami
Jakby srebrem talerzy i czar kryształami.
Wszyscy skromnie zasiedli, a przecie siadali
Wśród bogatej i wielkiej i przepysznej sali,
Której krańce gdzieś w dali nieba dotykały;

Śliczna lampa świeciła u modrej powały
A koło niej maleńkich światełek tysiące
Płoną, jakby promienie jak iskry błyszczące.
Do tego i muzyka duszę rozwesela
Jedzących; choć rozliczna i choć z tonów wiele
Złożona, tak miłuchna harmonijną zgodą,
Że jej czarem zakłęte wiatry w tan się wiodą.
Najpierw derkacz, tu u nas nazywany chrząszczem,
Daje znak i wnet żaby w kałuży pod gąszczem
Hałaśliwym, skrzeczącym chórem się ozwały;
We wierzbynie nad Olzą śpiewa słowik mały;
A zaś w zbożu przepiórki; zielone koniki
Świerszczą w trawie, na liściach... a do tej muzyki
Tak cudnej, czarującej, ślicznej i wspaniałej
Ponurym szumem fale Olzy wtórowały,
I ten wieczór tak cudny i cudna muzyka
Wszystkich serca radosnem uczuciem przenika.
I siedzieli jak duchy przy skromnej wieczerzy,
Odziani w blask księżyca, co się coraz szerzy;
Po wieczerzy, po pracy, po modlitwie cichej
Poszli spać. Pokładli się na pościeli lichej,
Lecz zato ręką pracy i zdrowia usłanej
I popadli w sen zdrowy, miły, pożądanym...
Na dobranoc im nuci słowik pieśń z za krzaka:
Tak się skończył powszedni dzień w domu wieśniaka.

(Tak żył lud w całej Polsce)
Na Woli Rad. tak bywa

II.

«Będziesz dzień święty święcił».

Już świt ranny rumieni z lekka sine chmury —
I skowronek się wznosi zroszonemi pióry
Od ziemi chwalić Pana — a pod kłosem żyta
Przepióreczka ochoczo ranną zorzę wita.
Już słońce, choć niewidne, złociste promienie
Rzuca na gór wierzchołki i spędza z nich cienie:
Uciekają w doliny — lecz się nie ostoją,
Bo promienie nad górą już się światłem roją,
I strzelają na trawy i rosy szukają
I, jak światło w okienku, złocisto łyskają.
Już ptaszki się ozwały melodyjnym śpiewem,
I wietrzyk wstrząsnął kwiaty rzeźwiejszym powiewem:
Bo ze wstającym słońcem wszystko ze snu wstaje,
Ożywiają się pola, łąki, lasy, gaje.
Wszędzie panuje rozkosz i śmieje się radość,
A komu słońce świeci, temu pewno zadość.
Ale w chacie wieśniaka — tam takie milczenie,
Jak gdyby ją trzymały w swem objęciu cienie
Nocy; tak cicho wśród ranka hałasu

Jako w zaklętym zamku, co stoi śród lasu
Otoczony wałami ciernia i korzeni.
Tam jeszcze śpią smacznie i w snach pograżeni —
Śnią na przemian o trudach pracy i o cnocie;
Nawet kogut krzykliwy, co stoi na płocie,
Milczy i krótkim dzióbem swój ogon błyszczący,
Podniesiony, skrzywiony jako sierp świecący,
Czyści z kurzu, spogląda na kury pod płotem,
Co się w piasku tarzają. A na strzesze złotem
Słonecznem myją białe swe piórka gołębie;
Kotek mruczy, grzejąc się u studni na zrębie:
W chacie cicho, śpią jeszcze, bo dzisiaj — niedziela.
Mgła srebrna wstaje z Olzy, zwolna się rozściela
Na dachy i trzyma je jak matka w objęciu,
Co chce chwilkę snu jeszcze przysporzyć dziecięciu;
Unosi się nad wioską, jako anioł Boży,
Który śpieszy do nieba ze ziemskiej podróży;
I coraz bardziej niknie zarys szaty białej.
A słońce weszło w górę i mgły się rozwiały,
Na chaty odsłonięne dzionek biały spłynął,
I sen na śpiącym oku skrzydełka rozwinął
I uleciał, uleciał w dalekie krainy.

Wstał dzionek rozjaśniony, lecz zupełnie inny
Niż dzień przeszły, powszedni. Cudnie uśmiechnięty
Stąpa po białej rosie, jako anioł święty
W ostatnim dniu stworzenia; w jednej niesie dłoni
Pełno prześlicznych kwiatów o czarownej woni;
Drugą z wiatru powiewem poważnie podnosi
I by święcić dzień Pański, wszystkiej ziemi głosi!

| Zaś słońce biegło zajrzeć do chaty wieśniaczej,
A jego złotą drogę czysty promień znaczy,
A jasny, biały promień połyskiem odstrzeli
Od jej skromnego wnętrza, jej przedmiotów bieli:
O! bo wieczorem wczoraj myli i czyścili,
Zeby tylko niedzielę przystojnie uczcili.

I słońce biegło zajrzeć do chaty wieśniaczej,
A jego złotą drogę czysty promień znaczy,
I zastało domowych nad Księżą schylonych
W modłach cichych, gorących, sercem zatopionych.
Ufność silna i wiary silniejsza potęga
Po złotej słońca wstędze w niebie Boga sięga.
I to serce wierzące, co pobożnie czuje,
W odwiecznych progach nieba Ojca odnajduje.
A modlitwy, wylanie pobożnego serca,
Pan Bóg przyjmie w ofierze, a wydrwi szyderca.

I w domu wszędzie cicho, spokojnie na dworze,
Wszystko zdaje się święcić wielkie imię Boże,
Tylko się tu błakają głośnych modłów pienia,
Że cała chata zda się być jakby świątynia.
Z obory pieśń dochodzi pracowitej dziewczki,
A w stajni zaś parobek, zamiast pustej śpiewki,
Którą nuci po wsze dnie, czyszcząc konie swoje,
Śpiewa pieśni poranne. — Te różne nastroje
r) - Różnych pieśni w jednym, zgodnym tonie giną,
I jak jednym nastrojem prosto w niebo płyną.
Nawet dzisiaj śniadanie, że to przy niedzieli,
Lepszym, niżli zazwyczaj, pokarmem się bieli

I lepiej omaszczone. Posiadali razem,
Ojciec na pierwszym miejscu, i cichym wyrazem
Pomodliwszy się Bogu, smacznie zajadali.

Już dziesiąta zabrzmiała na drucie ze stali
I za każdym oddźwiękiem kukuleczka woła,
Co w zegarze ukryta: Czas już do kościoła!
Ubierają się: ojciec nalał do grocicy (sl)
Wody i mył się; potem przyniósł ze świetnicy
Szaty świąteczne; bierze spodnie wążkie z pasem
Ogromnym, z kutasami buty; tym kutasem
Jak gdyby kiścią czarną u góry powiewa
Poważnie, głancowana wysoka cholewa.
U spencera, jako też i u kamizelki
Kołnierz prosty; guziki srebrne, jak bąbelki
Na błękitnej wód toni śnieżne i wydęte,
Błyszczą dwoma rzędami na piersiach upięte.
Szyję zaś od koszuli lemieć wążki, biały (sl)
Okala. — Płaszcz zaś długi wisi u powały,
Bo jeszcze czas. —

Matka około ubrania

Dłużej się krząta. Bierze do zbierania
Pończochy długie kilka łokci, tak nazwane,
Że się w fałdy zbierają, pończochy zbierane.
Zbiera długo, a potem na nogę zmarszczoną
Wdziewa trzewik z spinkami; suknię zaś czerwoną
Przepasuje fartuchem; ubiór w pół gotowy,
Lecz większa sztuka leży w ubieraniu głowy;
Bierze się biała chusta i w trójkąt się składa;

W tem jej zwykle pomaga usługna sąsiada,
Bo samej niepodobna; złożoną nakłada
Się na głowę, a matka rękami na czoło
Przytrzymuje, ażeby pod prężącą wolę
Poddać czoło i zmarszczki — patrząc do zwierciadła
Czy się dobrze przy uchu chustka już układała.
Już jest szatka sprawiona! Och! ślicznież ten biały
Strój głowy się wydawał: dwa końce spływały
Poważnie: jeden z skroni prawej zwity, długi,
Na kształt niby ucha długiego, a drugi
Przykrywał plecy jak dach śnieżny biały.
Dziś wieśniaczki ubioru tego zaniechały,
Który im słuszenie zyskał imię białogłowy —
I powoli, nieznacznie ten znak narodowy
Jakiś nowy obyczaj czy moda wypycha;
A podobno, niestety, zdziałała to pycha!

Już ubrani, więc idą. Lecz nim swoją nogę
Za próg domu wywiedli na kościelną drogę,
To ojciec ze świątynicy wyniósł księgi święte,
«Kancyonał z Dambrowskim», mosiężnemi spięte
Sprzążkami, a kładąc je ostrożnie na stole,
Rzekł do mnie, a ja byłem natenczas pacholę
Dosyć duże: «Jakóbie, podczas kościelnego
Nabożeństwa zasiądźcie wszyscy do jednego
Za stołem, zaśpiewajcie, ty czytaj kazanie,
W niedzielę wy pójdziecie»; potem westchnął: «Panie
Strzeż domu»... płaszcz zarzucił, wstrząsnął kilka razy
I jeszcze powtórzywszy wydane rozkazy
Wyszedł z matką i siostrą.

Na drodze do miasta,
Bieżącej tuż nad Olzą, coraz bardziej wzrasta
Tłum, idących do domu Bożego, bo z różnych
Okolic cel jednaki połączył podróжных.
Cała droga wygląda z blizka na kształt wstęgi
Pstrej: ubiór czarny obok białego, to pręgi,
Kiedy się w słońcu mienia i łamie się w cienie;
Zdała zaś jako potok, co pod lasem płynie
I falami po cieniach wiszących gałęzi
Ponad nim, które słońce w modrej toni więzi,
Przezroczyste, błękitne suwa wody swoje:
Ubiór mężczyzn to cienie, fale kobiet stroje.

Wznosi się piękne wzgórze, które Olzy zdrojem
Obwiją swe podnóże, jak srebrnym powojem;
Wznosi się piękne wzgórze i z za drzew zieleni
Białość naszego miasta w wodzie gra, się mieni; ?
I mury, gdyby dziatwa nad brzegiem usiadła,
Patrzą w tę modrą głębię, jakby do zwierciadła.
Dumają: czy się dziwią twarzy swej białości?
Albo czy upatrzyły we wodzie przeszłości
Marę, która postawą łzawą i posępną
Biegnie chwilę ukarać obecną, przestępną?
Czy wiedzą, że w tych kropli przezroczym kryształe
Przechowane tej ziemi grzechy, skargi, żale,
Jakby w czarze pamięci — i kiedyś w przyszłości
Wyleją się pod nogi zdziwionej ludzkości:
Niech więc sądzi... Nie! one jeszcze nie powiedzą
Dlaczego w takim dziwnym zadumaniu siedzą;
Och! jeszcze się tej ziemi czasy nie spełniły...

Więc milczą jak zakłęte — one się zdziwiły
Nad tem tylko, że w krótkim czasie tak podrosły,
I że tak pięknie, biało nad Olzą się wzniosły,
Toż marzą... a może spostrzegły z zachwytem
Jako nad podniesionym czarnych dachów szczytem
Wystrzeliły krzyżami Bożych domów wieże;
A z nich jedna najwyżej — aże na pobrzeże
Chmur morza sięga czasem; — czasem blask od krzyża
Bije jako od słońca.

b) A że się tłum zbliża,
Więc też czapki zdejmują z spoconego czoła
I z nabożnem uczuciem na progi kościoła
Wstępują; a chłód z wnętrza, jak poważne tchnienie,
Powitał ich, powitało uroczyste pienie
Niesione, kołysane na akordów rękach,
Niesione, kołysane na organów dźwiękach:
Powiało pod sklepienie gwiazdami okryte,
Powiało i tysiącem głosów wnet odbite
Upadło znów napowrót i z nowymi głosy
Połączone w głos jeden wzbiło się w niebiosy!

b) Pamiętam, jeszcze wtenczas byłem dziećciem,
Co mówiła piastunka — słuchałem z zajęciem —
Że dziś każde słóweczko dobrze jeszcze pomnę
I chociażbym sto lat żył, to go nie zapomnę:
«Bóg pierwszego człowieka postawił do Eden,
Lecz zgrzeszył: wypędzony od Pana, sam jeden
Tułał się ze swą Ewą i pokrapiał ziemię
Łzami i potem krwawym: — aż nareszcie w plemię
Obrzymie, lud on możny został rozrodzony.

Lecz lud odpadł od Pana, a grzesząc, pokłony
Oddawał cudzym bogom, które z złota czynił;
Pan widział, jak lud grzeszy i chociaż zawinił,
To on przecież w swej wielkiej, ojcowskiej miłości
Nie chciał, ażeby zginął w grzechu i we złości:
Lecz go chciał wyratować. Zwołał go pod górę
Wysoką; on sam stanął na ognistą chmurę,
Gwiazdy miał koło głowy, przepasany łukiem
Tęczowym — i przemówił piorunem i hukiem
Grzmotów; góra wstrząśnięta rozpadła się, cienie
Błyskawice wygnały: góra, jak sklepienie,
Uwisła nad tłumami, co ze strachu drżały:
Pod sklepieniem gwiazdzistym wdzięcznie przeleciały
Dwa białe aniołeczki; na małym ramieniu
Niosły «dziesięć przykazań» rytych na kamieniu
I dały je ludowi, co z trwogi poblady
Drżał, a on je wypuścił, że się w proch rozpadły...
Wtenczas Pan westchnął smutnie. To Boże westchnienie
Tak smutne wiatry w chmurach stworzyły na pienie:
I stąd kościoły i stąd też organy powstały...

Ilekróć się zgromadzim w kościele dla chwały
Bożej, a śpiew usłyszę i organów granie,
To tyle mi też razy przed oczami stanie
Owa góra; gdy słyszę zwiastowane słowo,
Zda mi się, że aniołki lecą nad moją głową!

Już jest po nabożeństwie: na organach kona
Ostatnie brzmienie pieśni nabożnych, a z łona
Wielkiego dzwonu z wieży, jak ciężkim oddechem,
Spływa głos pożegnania; ze stokrotnem echem

Wraca go nazad miasto, wzgórze i doliny.
Tutaj z progów świątyni — jak z źródła głębin,
Kiedy się pchają wody we kształcie nawały,
Posuwa się lud tłumem; lecz tłumy rzedniały
I nikły na ulicach powoli, jak ginie
Potok w piasku, choć ledwie małą chwilkę płynie.

Jeszcze słońce bawiło na niebie wysoko,
Z za przezroczystych chmurek świeciło, jak oko
Boże ludziom, śpieszącym z powrotem, po drodze:
Idą prosto do domów swoich — a ich nodze
Nic nie stało zawadą wabiącą, ich kroku
Nic tam nie zatrzymało, ponieważ przy boku
Szła jeszcze pobożność.

Słoneczko bawiło wysoko
I z poza jasnych chmurek świeciło jak oko;
Kiedy ojciec i matka na próg domu weszli:
Myśmy ich wracających przed domem przedeszli,
Wiedziemy ich z radością, potemśmy pytali
O miasto i o kościół; potem rozbierali
Się, a wziąwszy posiłek do siebie, siadali
Wspólnie z dziećmi, z czeladką za stołem lipowym
Zaśpiewali; a ojciec uroczystem słowem
Odczytywał kazanie — kończąc je słowami:
«O ty najśłodczy Jezu zmiłuj się nad nami,
I racz pobłogosławić nędznym sprawom naszym
I obdarz Duchem świętym» — skończył «Ojczenaszem».

O! prześlicznyż to obraz dla duszy człowieka,
Na który patrząc łązą się napełnia powieka,

A pamięć nasza leci wstecz — w dalekie czasy:
I widzi przodków naszych skrytych w ciemne lasy
Tych gór ojczystych, kędy w niedostępnej jamie,
Ponad którą z gałązek Chrystusowe znamię
Zatknąwszy zasiadali gromadnie, z spokojem,
Z wiarą silną nad Księgą tryskającą zdrojem
Życia; a śpiew, odbity o skaliste ściany,
Urodzony w zapale, miłością owiany,
Co w śmierć wiedzie męczeńską ze wzrokiem do góry,
Powtarzały w hymn święty rozplakane bory!

(R

Dziś jeszcze starzy ludzie pokazują w górach
Miejsca spowiednicami zwane, co o zborach
Świadczą prześladowanych za wiarę — i różna
Wieść o nich między ludem; a dusza pobożna
Ma je za święte. — Mówią, że i duszpasterzy
Do odprawiania służby Bożej i wieczerzy
Świętej z sąsiednich krajów tajnie sprowadzali
W takie miejsca, że na znak wszyscy się schadzali
Tajnie na nabożeństwo. — O! Chryste! o! Panie!
Zdarz, żeby dla nas wszystkich to prześladowanie
Było źródłem wieczystem tej wiary gorliwej
Naszych przodków i źródłem Twojej miłości żywej:
Niech z niego płyną wody, co nas umacniają
W dobrem, a przeciw złemu w walce sił dodają!

Skończone nabożeństwo domowym zwyczajem.
O! szczęśliwy to naród, nad którego krajem
Unosi się pieśń serca, którą on zaśpiewa,

Unosi się modlitwa, którą on wylewa
Z piersi pobożnej, wiarą w Boga ożywionej!

Ojciec wyszedł na pole obejrzeć ról plony;
Matka mu towarzyszy, otoczona wieńcem
Dzieci hożych i krasnych lic zdrowych rumieńcem.
Dzieci skaczą z radości, zbierają jagody,
Co po ziemi się mienia, do ich lic urody
Podobne; wdziewają je na trawy żdziebelka:
Każda poziomka błyszczy, jak mała perełka
Czerwona, a żdźbło znowu, jakby sznur koralu.

Ojciec z matką z radością wtedy spoglądali
Na swych pól urodzaje: jakby fale wzdęte
Gnie się żyto kłosami, ręką wiatru zgięte:
Pszenica cudnie stoi, a w jej jasnych kłosach
Czerwieni się mak polny, jak w warkocza włosach.
Dalej ziemniaków łany — nad ich wałki małe
Leci już kilka kwiatów — jak motylki białe.
Wczesny owies już trzęsie dzwonkami szarymi,
Zmartwił się znać tem jęczmień, spuścił wąż ku ziemi
I coś z wiatrem szeleści — co gdy koniczyna
Spostrzegła, rozśmiała się, że aż główki zgina.
Nie śmiej się koniczyno! bo gdzie dziś kwiat błyszczy,
Jutro kosa świecąca swem ostrzem zaświszczy.
Czy nie wiesz, co się stało twej sąsiadce łące,
Jak jej trawy skoszone wysuszyło słońce?!

Na zachodzie słońeczko bładem licem świeci;
Już powracają z pola: skaczą wkoło dzieci,
Jedne z nich niosą na żdźbłach jagody rumiane,

Drugie kwiaty: mak polny i w wieńce splatane
Bławatki, zawieszają je w świetnicy na ścianę.

Słońce zaszło, dnia oko zawarło powieki,
Promień jasny, co błędził po ziemi dalekiej,
Wraca na łono słońca, żeby znowu świeży
Jutro wrócił.

Zwołano właśnie do wieczerzy.
Dzisiaj smaczna wieczerza: w niedzielę i święta
Porządna gospodyni o stole pamięta
Lepiej. — Siedli z modlitwą i czyści i biali,
Ojciec na pierwszym miejscu — smacznie zjadali.

Słońce zaszło, dnia oko zamknęło powieki,
Promień zniknął, co błędził po ziemi dalekiej —
A jasne gwiazdy wschodzą: i noc w swym obiegu
Oświeca.

Po wieczerzy usiedli na brzegu
Olzy. Pamiętne będą mi zawsze te chwile —
Chwile życia i ducha... Jak cudnie, jak mile
Płynęły z serca pieśni, płynęła rozmowa
Wesoła z ust — lub jaka powiastka wioskowa
W tych godzinach swobody, godzinach wytchnienia!
Otóż takowa chwila na strunie wspomnienia
Drgnęła... Pomnę: siedzimy na brzegu zieleni,
Niebo jasne gwiazdami cudownie się mieni:
I w wodzie błyszczą gwiazdy, jak roje kamieni
Drobnych, złotych — nad wodą komary igrają,

Łapią je chyże rybki i bokiem łyskają;
Na gałązce w wierzbinię słowik czule nuci
I nie skończy swej pieśni, aż znów świt powróci.

sl)
I siedzimy wesoło, ucieszenie, a śmiechy
Dzieci wtórują mile wśród wspólnej uciechy;
Lecz znów nastała chwila milcząca i głucha
Przerwana szumem Olzy. Każdy bacznie słucha
Tylko gawęd starego parobka, co baję
O strachach i utopcach, że aż włos powstaje
Na głowie. — Dzieci w wodę patrzyły ze strachem:
Błyszczą gwiazdy: to zamek utopca pod dachem
Z gwiazd lśniących, cały z srebra, ślicznie wyłożony —
Wychodzi on czasami, jak chłopiec w czerwonej
Czapeczce, takichż spodniach, w modrej kamizelce
Huśtać się na gałęzi; w łyżce — i kropelce
Wody nawet utopi, a szczególnie dzieci! —
Sunie się ciemna fala: «Patrzcie, patrzcie, leci
?sl)
Ksebe czarna, tam druga suwa się pod wodą,
Pewnie kogoś schwytały, topią go, w głąb wiodą».
W nocy?
Łyska się na kamieniach białych rybek stado:
«Patrzcie, dzieci topielca w srebrnym wozie jadą,
Uchodźmy prędko, prędko!» — Lecz pasterze śmiałki
Podskoczyli, dobyli z zanadru puszczalki:
Zagrali im — niech tańczą w podwodnym pochodzie.
Rybki, słysząc muzykę, pluszczą, jak po wodzie
Płaskie kamyki ręką chłopczyka puszczone.

Już wóz na niebie skręcił dyszel długi w stronę
Południa; mleczna droga przecina już nieba

Błękit. Wstał i rzekł ojciec: «Dzieci, spać już trzeba!
Jutro wstaniem, nim zejdą nam na wschodzie zorze»...
Poszli tedy, z modlitwą, kładąc się na łoże;
Usnęli, kołysani śpiewem pośród krzaka.
Tak się skończył niedzielny dzień w domu wieśniaka.

I tak zawsze tym samym biegną lata torem
Wieśniakowi wśród życia. Poranek z wieczorem,
Połączony modlitwy, pieśni, pracy dłonią,
Tworzą dzień. — Gdy są troski: przed niemi się słońią
Modlitwą — gdy zaś radość zawita śród troski,
Przyjmują ten dzień szczęścia wdzięcznie jak dar Boski!
I wesele i radość, ni to, co ich boli
Serca im nie odmieni, nie zachwieje woli
Prawej... Lecz teraz?... teraz?... i tu spuścił głowę
I dalej goniąc myślą swych wspomnień osnowę,
Widział, że się zakończy już nicią nadgniłą —
Westchnął ciężko i szepnął: «Wszystko to się śniło»! —
Potem poszedł ku Olzie — i stanął nad brzegiem
I znowu pędził w przeszłość wstecz myśli obiegiem,
Zapłakał i lży kroplę w wód zdroje dorzucił,
Usiadł na brzeg urwisty, tę piosnkę zanucił:

O, Olzo moja! jeszcze się tve wody
Jak wtenczas snują przez ojczyste niwy,
Kiedy to pełen chłopięcej swobody
Pływałem sobie po twej fali siwej —
I jeszcze widzę ten sam brzeg strzępaty
I na tym brzegu ten sam grab garbaty.

Kto?
Czytelnik
Zapomniał

11 kład niebo

O, Olzo moja! twoje modre tonie,
Co z niezliczonych kropli są złożone,
Kryją przeszłości pamiątki w swem łonie;
I nasze pieśni w nich tam są uśpione
Jak w Arce; kiedyś gdy opadną wody,
Wyjdą, powieją oddechem swobody!

I szczęśliw jestem, ty rodzinna rzeko,
Że się nad twoim wychowałem brzegiem;
Ty śpieszysz, pędząc za Odrą daleką,
A duch mój z twoim połączył się biegiem
I leci witać swych braci rodzonych
Ze wspólnej matki, chociaż rozłączonych.

I patrzeć na cię — jak mi jest przyjemnie!
Ileż to w każdej uroku kropelce;
Pocóż mi marzyć o Dniestrze, o Niemnie!
I ty masz nimfy, i ty masz topielce,
O czem babunie, jakto zwyczaj mają,
W zimie przy prądce dzieciom powiadają.

Lecz widok na tve igrające fale
Budzi mi w duszy wspomnienia dziecinne,
Które mi radość przemieniają w żale;
Bo co najdroższe — przeszło w życie inne!...
Płyn, moja Olzo, płyn dalej doliną
I weź me żale, niech w twych nurtach zginą.

II.

WIERSZ

NA DWUDZIESTOPIĘCIOLETNI JUBILEUSZ
CZYTELNI LUDOWEJ W CIESZYNIE

NA DWUDZIESTOPIĘCIOLETNI JUBILEUSZ
CZYTELNI LUDOWEJ W CIESZYNIE.



I ja chcę uczcić piękne nasze święto
Prostą powiastką, jakoby uszczknietą
Kwiecia gałązką z naszej Śląskiej błoni,
Jakie dostatkiem wszędzie tęskna roni.
A przeto, chociaż w tej skromnej powieści,
Urywek z życia mojego się mieści,
Niejeden znajdzie w niej swe własne dzieje,
Niejeden znajdzie, że także koleje
I jego własne życie przechodziło.
Wielu nas, wielu jednym życiem żyło!
I jedna dola w przeszłości nas wiodła
Szczęśliwą drogą do onego źródła,
Z którego wody kto tylko skosztował,
Miłość swej ziemi wiecznie będzie chował.

Dom mój ojczysty stał nad samym brzegiem
Olzy, co swoim wartkim, srebrnym biegiem

Śpieszy równiną za Odrą daleką.
Przy chacie lipa — a pod jej opieką
Tak dobrze było tej rodzinnej chatce,
I tak bezpiecznie dzieciom, ojcu, matce,
Jak pod wszechmocną, dobrą ręką Bożą:
Ona nas chroni, gdy się burze srożą,
A kiedy upał obdarza nas cieniem,
A kiedy wiosna cudnem ptasząt pieniem.
W swem łonie wszystkie chowa wydarzenia
Tej chatki, jakie z losu przeznaczenia
Jej kiedykolwiek przypadły w udziale;
Więc też pamięta wesele i żale,
Radość we szczęściu, a w nieszczęściu skargi,
A pokój z dobrem, a ze złem zatargi,
Słowem, co życie uważa za swoje,
Te ustawiczne, ciągłe, trudne boje!

I tu mi matka pierwszy pacierz kładła
W serce dziecinne, tu mię abecadła
Uczył mój ojciec, a dziaduś sędziwy
Uczył stąd biegać na rodzinne niwy,
Zbierać i znosić kwiateczki ojczyste,
Uczył mię patrzeć w fale Olzy czyste,
Uczył wsłuchiwać się w słowicze śpiewy,
Uczył uważać na wiatru powiewy,
Pokazał niebo ojczyste i na niem
Ojczyste słońce, które jego zdaniem
Nigdzie tak jasno, tak ślicznie nie świeci,
Nigdzie takiego ciepła też nie nieci

W stęsknionem sercu promieniami swemi,
Jako tu u nas na ojczystej ziemi.

A więc siał w serce owe złote ziarno,
Które, choć nawet chwasty je ogarną,
Silnym swym wzrostem chroniąc się zniszczenia,
W złoty, stokrotny owoc się rozplenia.
I to też, kiedy, jako ptasze młode,
Co wylatuje z gniazda na swobodę,
Leciałem wolno — ojczyste konary
Rzuciwszy, w obce, dalekie obszary;
W długiej tej drodze nie zwichnąłem lotu:
Bo miałem siły dosyć do powrotu

Niekiedy Olza powodzią wzbierała
Straszną, aż wody z brzegów wylewała,
W szalonym pędzie i niszczącym biegu
Rwała i drzewa i kwiaty na brzegu
I pochłaniała wszystko w toni mętnej.
Widząc tę zgrozę byłem bardzo smętny;
I rzekł mi starzec: «Moje lube dziecko,
Taką powodzią wzbiera czasem życie
Ludzkie, jeżeli samolubstwa chęci
Serce owładną, jeśli nie poświęci
Czynów i życia swej ojczystej ziemi,
Jeśli nie chodzi drogami Bożemi.
A jeśli potem, gdy opadną wody,
Fala znów płynie spokojnie jak wprzód,
Cóż mi jest z tego, że zwolniła biegu,
Gdy niema kwiatów na zerwanym brzegu».

Tak mię nauczał mój dziaduś sędziwy,
A gdy śnieg biały pokrył lasy, niwy,
Drzewa w ogrodzie i z kwiatami grządki,
Wtedy od starca biegałem do prządki.
I kiedy warczy rączy kołowrotek,
Wtedy ojczystej pieśni słucham zwrotek,
I słucham chciwie ojczystych powieści,
A choć nie mogę zrozumieć ich treści,
Jednak znów słuchać do prządki przychodzę,
Podczas gdy bracia moi na podłodze
Bawią się, krzyczą, ja słucham ciekawie;
Często dzień cały tak przesiedzę prawie.
A choć już wszystkie na pamięć umiałem,
To przecież znowu i znowu słuchałem
Tych cudnych bajek o strachach i czarach,
Duchach zaklętych w podziemnych pieczarach,
Co skarby dają temu, kto ich pragnie,
O tańczących nocnicach na bagnie,
I o topielcach w głębokiej zatoce,
I o strzygoniu, który w pewne noce
Odwiedza chaty i w okna łopoce,
I o królownie zaklętej w kościele
I innych różnych, których bardzo wiele.

I w mej dziecinnej bujnej wyobraźni
Wszystko to słyszę, widzę najwyraźniej:
Strasznych topielców na wodnej głębinie,
Te tańczące nocnice w olszynie,
I czarownice huczące w kominie;
Czarnego dyabła, co we młynie miele,

I tę zakłątą królownę w kościele,
Tych groźnych zbójców w wielkim, ciemnym borze,
To wszystko widzę i w wieczornej porze
Za nic bym w świecie nie chodził po dworze,
I w szczere pole nie szedł za nic w świecie,
Więc gdy się tulę jako trwożne dziecię
Do prządk, ona głaszcze mnie i pieści
I łagodniejsze baja mi powieści:
Jako rok rocznie, gdy już kwiatów niema,
Przychodzi do nas piękna pani zima,
Jako odwiedza dobre, grzeczne dziatki,
Śliczne maluje na okienkach kwiatki,
Wiesza kryształ y błyszczące na drzewa
I złote gwiazdki po śniegu rozsiewa,
Lub zaśpiewała piosnkę o dziewczynie,
Co pasła wołki w zielonej olszynie,
Z pieśnią, powieścią strach powoli minie!
A kiedy czasem się na wieczornice,
Czyli na prządk z całej wsi dziewice
I chłopcy do nas zebrali z kądziałą,
Gdy się zabawia, gdy się rozwesela,
Nie było końca śpiewom, żartom, śmiechom
I tym niewinnym wioskow ym uciechom!

Więc takim trybem zbiegł mi wiek dziecinny
W mej ukochanej chateczce rodzinnej,
I takie było moje wychowanie.
To co najświętsze składało się na nie.
Dziaduś sędziwy uczył mię miłości
Ojczystej chatki i ojczystych włości,

Składał powoli po małej iskierce
Tę świętą miłość w pacholęcia serce,
Z której się jasne rozświeciły ognie,
W których się człowiek, hartując, nie pognie
I pod nieszczęścia nie schyli się ciosem,
Jakie mu w życiu Bóg zapisze losem,
Ani się zegnie przed pokusą względów,
Ni się przed światem skłoni dla urzędów:
Niezmienny pójdzie cnoty twardą drogą:
Zgiąć go nie zegną, lubo złamać mogą,
A taka klęska męża tylko szczyci!

A prządka snuła ducha złote nici
Z pieśni by ze lnu, a choć się zdawała,
Nić zbyt subtelną, jednak się nadała,
By prząść z niej wążek naszego żywota;
A chociaż potem tkacz świat przędzę miota
Grubą i gwałtem w tkaninę zaplata,
Przecie się błyszczy cudnie życia szata
Czystem uczuciem i marzeniem złotem
I owym ducha szlachetnym polotem.

Gdzie taka czystość pierwiastków się spręże
Na wychowanie młodzieży, tam męże
Dzielne i wielkie, z których każdy wyzna
Jawnie swą wiarę, mieć będzie ojczyzna!

Kochałem tedy naszą lubą chatkę,
Kochałem braci i ojca i matkę,
Kwiatki na łące i drzewa w ogrodzie,

Bydło i ptaszki i rybki we wodzie
Wielką miłością i ani myślałem,
Że ja to wszystko kiedyś rzucić miałem.

I to też kiedy zostałem studentem,
I szedłem z domu, z jakim żalem świętym,
Z jakimi łzami, z jaką rzewną troską,
Z ojcem i matką, z braćmi, z domem, wioską
Się pożegnałem! Mnie wtenczas tak było,
Jakby się wszystko dla mnie już skończyło,
Jakbym już wszystko na wieki miał rzucić,
I jakbym nigdy już nie miał powrócić.

Z ojcem i matką do miasta jechałem,
Przez łąy płynące już nic nie widziałem
I co się ze mną dzieje, nie wiedziałem.
I do rodziców tyłem obrócony,
Siedząc splekany, patrzę w moje strony,
Aż wszystko znikło za wzgórkim wysokim.
A długo jeszcze szukam ławem okiem
Mojego domku. Tak w wielkiej boleści
Rzucam mą chatkę, pieśni i powieści.

Więc jestem w mieście i siedzę we szkole;
Lecz jak tu smutno; ja wiejskie pacholę
Siedzę w serdecznej pogrążony trosce,
Tu mówią ze mną inaczej jak w wiosce,
Nie mówią ze mną w ojczystym języku,
Lecz cudzym, obcym, do którego zwyku
Nijak nie mogłem wziąć — trudna nauka,

To też się śmieją, szydzą jak z nieuka
Nieudolnego.

Czemuż się śmiejecie?
Czyliż dlatego, że wioskowe dziecię
Waszej niemieckiej mowy nie rozumie,
A więc też tęskni w tym obcym mu tłumie? —
Czy może za to, że go Pan Bóg stworzył
Takim, jakim jest i że mu nie włożył
Na język mowy Germanów narodu?
Wyrwijcie kwiecie z waszego ogrodu,
Na cudzej potem zasadźcie je grzędzie,
A wkrótce więdnąć i usychać będzie,
Tymczasem kiedy na rodzinnym łanie
W pełni kolorów, wdzięków, woni stanie!

Nie miałem znikąd litości, pociechy,
Za łzy i serce, szyderstwo i śmiechy
Dostałem w zamian, dlatego stroniłem
Od mych kolegów i samotnie żyłem
Z myślą o domu. Czasem mnie chęć bierze
Wybieść ukradkiem na kościelną wieżę,
Skąd wzrok wyteżam, czyli nie spostrzeże,
Żali mi z domu kto ręką nie skinie,
Lecz darmo patrzę, tylko Olza płynie,
I pozdrowienie na srebrzystej fali
Niesie, co ojciec i matka je ślali.

A gdy raz pierwszy biegłem w odwiedziny,
Z stęsknionem sercem do mojej rodziny,

Z jakimż radosnem witam się obliczem,
Z jaką radością niezmaconą niczem
Wpadam, wlatuję na próg mojej chatki
W uściski braci i ojca i matki.
I jeszcze dzisiaj czuję w mojem łonie
Tej szczęsnej chwili i zapach i wonie,
I jeszcze dzisiaj w moich piersiach noszę
Tej chwili szczęście, radość i rozkosze,
Kiedym powrócił z miłością dziecięcia
W objęcia matki i ojca objęcia.

Znów jestem w mieście, znów siedzę we szkole,
Lecz już mniej smutne jest wiejskie pachole,
W miarę jak znika za domem tęsknota,
Rośnie do nauk pilność i ochota
I coraz bardziej i bardziej przywyka
Ucho do dźwięków obcego języka,
I w tym języku szukam słów, wyrażeń,
Dla moich myśli i uczuć i wrażeń,
W nim się pomnaża mój rozum i wiedza,
A język własny tak się upośledza,
Że się nim mówić po prostu odwykło.
Przy nim jak prostą, jak słabą, jak nikłą
Wydawała się czasem nasza mowa
I jej wyrazy, jej zwroty, jej słowa!

Czasem mi smutno i bolesno bardzo,
Że naszą mową tak we szkole gardzą.
Przecie tak miło z swoimi pogwarzyć,
Przecie tak miło samotnie pomarzyć,

Tak miło prośby do Boga zanosić,
Miło się żalić, dziękować lub prosić
Ojczystą mową!

Więc bolesno bardzo,
Że naszą mową tak we szkole gardzą,
Że język polski ze szkoły wypchnięty,
Język miłości i modlitwy świętej.
Może to za tą przyczyną się stało,
Że go pospólstwo tylko używało,
Że ludzie, którzy chcą być oświeceni,
W niemieckiej mowie muszą być ćwiczeni.

Lecz to mię jeszcze martwiło boleśniej,
Że nie uczono w szkole naszych pieśni.
Czyliż pieśń nasza taka nieudolna,
Że wypowiedzieć tego nie jest zdolna,
Co się tam w sercu i duszy ukrywa?
Czyż nasza piosnka tego nie wyśpiewa,
Co człowiek w duszy i sercu swem czuje
I co go smuci i co go raduje?
Czyż ma koniecznie dla Śląskiego dziecka
Za pokarm ducha służyć pieśń niemiecka,
Czyliż jedynie dźwiękiem, co drga w nucie
Tej pieśni, w duszy rozbudzi uczucie?

O, pieśń niemiecka to pani urodna,
Bardzo rozumna, ale bardzo chłodna.
Ale pieśń nasza, to wioskowe dziecię
Skromne, niewinne i proste, a przecie

Tyle w niem wdzięku i powabu tyle,
Że przy niem marzyć i potęsknić mile,
Że przy niem płyną błogo życia chwile.

I uczyłem się o ubiegłych wiekach,
Dawnych narodach Rzymianach i Grekach,
I o Germanach, ich zwyczajach, sprawach,
Ich wojnach krwawych, rycerskich zabawach,
I o ich bogach i o ich Walhali,
Rajskich rozkoszach i dalej i dalej —
I tylko o tem i marzę i myślę,
I tych narodów mapę znaczę, kreślę;
W mojej fantazyi widzę wielkie męże
Jak kruszą kopie i szczerbią oręże.
Jedno pragnienie żywiłem w swem łonie,
Mieć taką sławę w życiu i po zgonie!

Lecz mię dziwiło, czemu nie uczono
Nas historyi naszej ziemi. Pono
Tu u nas były w dawnych, dawnych czasach
Tylko zwierzęta w wielkich, ciemnych lasach.
A, jak wiadomo, u dzikich bestyi
Nie piszą nigdy kronik, historyi,
One wciąż jedno ryczą, wyją, skrzeczą,
Z tego powodu niepotrzebną rzeczą
Było wspominać o tym naszym kraju,
Jego narodzie, życiu i zwyczaju.
Potem się naraz skądśiś ludzie zbiegli,
Lasy wycięli i pola zalegli,

Z nimi mój ojciec razem przywędrował,
Osiadł nad Olzą i domek zbudował.

Zatem o tamtych narodach marzyłem,
Wielkie ich cnoty i czyny wielbiłem,
I tylko życiem ich duchowem żyłem.

Raz w zadumaniu tęsknem sobie chodzę.
I w tej zadumie ku wzgórzom po drodze,
Żwirem upstrzonej kieruję swe kroki,
Aż nagle staję przy wieży wysokiej.
Spojrzałem w górę, przejęły mię dreszcze,
Na wieży szczycie chorągiew szeleszcze,
Czasem żelaznym odzywa się zgrzytem.
Słyszac to, straszno nie było mi przy tem,
I siadłem sobie na ławeczkę małą,
Aby podumać, a wtem mi się zdało,
Jak gdyby się ta wieża przedzierzgnęła
W jakowąś postać, która mię podjęła
Pod ręce — nagle w górę podźwignęła.
Spozieram wkoło, widzę jako przodem
Śliczne Beskidy tańczą korowodem,
Na górach źródła, z nich woda wytrysła,
Biegnie w dolinę królowa rzek, Wisła,
I jako biała, jak srebrzysta wstęga,
Lśni się na ciemnem czole widnokręga,
A z czoła spada i dalej się wije.
A potem postać objąwszy za szyję,
A nogi moje wsparłszy o jej biodra,
Patrzałem w stronę, kędy płynie Odra,

Ku której Olza skakała przez błonie,
Jak dziecko k'matce i siadła na łonie.
Cudny krajobraz: kędy oko sięga,
Czarowna ziemia, jako gdyby księga
Ślicznych obrazów. Mnóstwo rzek się wije,
Jak pociągnięte na księdze linie,
W których się mieszczą obrazy i zgłoski:
Lasy i pola i miasta i wioski,
A naokoło wszystko cudnie wieńczy
Góry lesiste zieloną obręczą.
A gdy tak patrzę w rozkoszy zachwycie,
Rzecz mi postać: «Moje lube dziecię,
Jam jest Duch-Starzec, za wyrokiem Bożym
Tej Piastrów wieży i tej ziemi stróżem,
Od wieków strzegę narodu świętości,
Dziedzictwa ojców dla ich potomności
Chowam we spadku i tym, co wytrwali
Wiernie przy sprawie ojczystej, co stali
Przy narodowej świętości sztandarze,
Tę Śląską ziemię na własność przekażę,
Widzisz, tę ziemię tak piękną i żyzną?
Ta piękna ziemia jest twoją ojczyzną,
Na której kiedyś pradziadowie twoi
Przy ostrym pługu i we lśniącej zbroi
Zyli szczęśliwi i sławni i dzielni!»

Potem od starca biegę do Czytelni,
Ta mię w otwarte przyjmuje ramiona,
Ta mię przygarnia i tuli do łona
I jako prądka, kiedym był chłopięciem,

Śpiewa i baja; słuchałem z zajęciem,
Gdy opowiada naszych przodków dzieje,
Gdy opowiada tej ziemi koleje.
I serce moje na pół zimne, skrzepłe
Przeniká nagle jakieś uczucie ciepłe,
Co z każdą chwilą rośnie, olbrzymieje
I jasną światłość w duszę moją leje,
Że nagle prawdę ujrzały me oczy
Widzę mą ziemię w postaci uroczej,
Widzę ją śliczną, oblaną jasnością
I ukochałem ją taką miłością,
Że tylko dla niej moje życie całe
Chcę żyć i działać na cześć jej i chwałę.
I zawsze, zawsze ja tutaj przychodzę,
Podczas gdy inni na świata podłódze
Kłócą się o chleb — ja tutaj przychodzę
By się nasycić tym pokarmem zdrowym,
Co się nazywa chlebem narodowym,
Uczucia chlebem i miłości chlebem,
Rosnącym tylko pod ojczystym niebem;
Żeby tą wodą źródlaną, co płynie
Z życia narodu, ugasić pragnienie,
Żeby nią dusze oczyścić od kału,
Aby się wzniosła, w sfery ideału;
By się nią obmyć, poświęcić tym chrzestem,
Którym przyjęty do narodu jestem.

A kiedy czasem tu na wieczornice
Zbiorą się chłopcy i hoże dziewice
A także starsi nie skąpią udziału,

Gdzie wśród czystego dusz czystych zapału,
Złączą się dłonie do wzniosłego celu
O, wtedy końca nie bywa weselu!
Tu słyszysz tylko mowy twojej dźwięki,
Tu słyszysz tylko ojczyste piosenki,
Tu słyszysz wzniosłe narodowe pienie,
I duszę twoją słodkie zachwycenie
Porywa. Chciałbyś w takowym zachwycie
Przeżyć, przemarzyć całe twoje życie!

I dzisiaj święcim taką wieczornicę,
Dziś ćwierćwiekową obchodzi rocznicę
Swego istnienia ta Czytelnia nasza,
Więc wszystkich miłych do siebie zaprasza,
By się z nią razem radością podzielić,
By się pocieszyć, by się poweselić.
A więc jesteśmy na to zaproszenie,
U stóp tej świętej składamy życzenie,
Składamy hołdy, nasze szczere chęci,
I przyrzeczenie niezgasłej pamięci.

Czytelnio nasza! przyjm więc z naszej ręki
Wieniec serdecznej i szczerzej podzięk,
Wieniec miłości i wieniec uznania! —
Ty jesteś naszym grodem, co ochrania
Świętość narodu przed zguby potęgą,
Tyś nam tą wielką, tą gruntowną księgą,
W której dziedzictwo nasze zapisano,
W której kreślone przodków naszych miano;
Tyś jest tą księgą, w której spisane leży

Skarbiec nauki dla Śląskiej młodzieży,
Tyś jest tą szkołą prawdziwą i wielką,
Co młodzież naszą uczy, rodzicielką,
Ziemią ojczystą nie gardzić wyrocznie,
Ale żyć dla niej pożytecznie, godnie,
Tyś tą Westalką, co czuwa nad zniczem
Narodu z jasnym, promiennym obliczem,
Tyś naszych pieśni ojczystych siedliskiem,
Tyś naszych wspólnych czynności ogniskiem,
Tyś naszą arką wśród zagłady morza,
Tyś naszej ziemi święta, jasna stróża.
A zatem przyjmij dzisiaj z naszej ręki
Wieniec miłości, uznania, podzięk.

O, prządko nasza! ty nadal prząść będziesz,
Z złotej kądzieli nam nici naprzędzisz
Złotych na jasne, idealne szaty,
W których się będą błyszczeć nowe kwiaty;
A ten, który się w te szaty obłóczy,
Rodzinną ziemię kochać się nauczy.

A może czasem do stóp twych pacholę
Przyjdzie z znamieniem natchnienia na czole,
I nasłuchawszy się piosenki twojej,
Podniesie harfę, do śpiewu nastroi,
I tak potężnie zaśpiewa, że ludu
Warstwy poruszy wszystkie, jakby cudu
Siłą i lud ten za pieśni przewodem
Pójdzie i pozna, jakim jest narodem!
I pozna swoje narodowe prawa

Jasno; i pozna, że ojczysta sprawa
Jest bardzo ważną i wzniosłą i wielką,
Pozna, że człowiek nie żyje tu tylko
Dlatego, by się sycił samym chlebem;
O, wszak ta ziemia przykryta jest niebem,
A zbawion w niebie tylko taki będzie,
Kto tu na ziemi ojczyznę posiędzie!...

A kiedy w struny swej harfy uderzy,
Zbiegą się całe zastępy młodzieży,
Pieśni do duszy ich uczuciem wpadną,
Pieśni im serce miłością owładną,
Tak że uczują wszyscy już za młodu,
Że są synami polskiego narodu
I nad duchowem jego odrodzeniem
Będą pracować z całym poświęceniem.

Czytelnio nasza, żyj nam w czas daleki.
Świętości naszej nie puszczaj z opieki,
Rządź nami czynem i radą i słowem,
Siądź, gospodaruj w Domu Narodowym! —

O, nie daj Boże, żeby nasza święta
Z domu swojego miała być wypchnięta,
Żeby wymiatać miała progi cudze,
Żeby żyć miała na obcych posłudze.
Chociaż jesteśmy ubodzy i biedni,
I o chleb troskać musim się powszedni:
Nie dopuścimy przystępu potrzebie,
Nie dopuścimy, by zbrakło na chlebie! —

I co oszczędność i co praca zbierze,
Na ten cel święty przyniesiem w ofierze!
A bracia nasi z nad Wisły i Odry
Obmyślą dla nas datek także szczodry,
Przyłożą rękę do wielkiej budowy,
Pomogą chętnie wznieść Dom Narodowy!
Czytelnio nasza, bądź zdrowa! bądź zdrowa!
Niech przed nieszczęściem Opatrzność cię chowa,
Niech cię uchowa od zguby, zagłady,
Niech cię uchowa i od naszej zdrady!

Czytelnio nasza! bądź zdrowa, a czyje
Serce dla sprawy naszej dzielnie bije,
Niech gromko krzyknie: Czytelnia niech żyje!

III.

SYN MARNOTRAWNY

SYN MARNOTRAWNY.

W rodzinnem mieście ukończyłem szkoły
Średnie i w gronie młodzieży wesołej
Jechałem, jak to bywało zwyczajem
Wtedy, do państwa naszego stolicy,
Co się rozsiadła nad modrym Dunajem,
Zeby na sławnej niemieckiej wszechnicy
Nabyć mądrości, rozumu i wiedzy;
Jechałem tedy i moi koledzy,
Nie pomnąc wcale, żeśmy są synowie
Polskich rodziców i żeśmy są wnuki
Polskich praojców i chcemy nauki,
Które na nasze wpłynąć mają życie,
Które o przyszłym orzec mają bycie,
Kończyć nie w swojej ale w cudzej mowie!

Czyliż ty nie wiesz, młody przyjacielu —
O tym przybytku wiedzy, co przed wielu
Wiekami stanął przy starym Wawelu?
Co to jak bóstwo wyszło z fali Wisły

Taką światłością świeci dookoła,
I że na wszystkie Polski miasta, siola
Padają blaski. Blaski dalej płyną
Fałą świetlaną — aże nad krainą
Śląską jak zorze złociste zawisły!

Ale jam wcale nie zważał na one
Światła — lecz w cudzą podążyłem stronę.
A gdy mię żegnał mój ojciec u progu,
To przedewszystkiem porucił mnie Bogu.
A potem wskazał na chatę i pola
I na tę Olzę, co przez nasze niwy
Płynie, rzekł: Gdy już taka Boża wola,
Że masz pojechać, jedź, lecz wróć szczęśliwy; —
Lecz wróć mi takim, jakim teraz jedziesz,
Wróć mi z miłością do rodzinnej wioski,
I z utęsknieniem do chaty ojcowskiej,
Z tą mową, w której ślem do Boga modły,
Z temi pieśniami, co je sobie nucisz;
Słowem: wróć z wszystkim we wiernej pamięci,
Co twemu sercu jest drogiem i miłym,
I co cię kochać wciąż a wciąż uczyłem;
A gdy cię losy w kraj obcy zawiodły,
To mi twej woli do złego nie zwiedziesz,
Nic cię obcego nie zwabi, nie znęci,
I jak mi jedziesz, tak mi kiedyś wrócisz!

Języka obcych ucz się, by ci służył
Jako narzędzie, któregoś użył,

Gdy ci pracować przyjdzie na kęs chleba,
Gdy ci się przyjdzie znaczenia dorobić;
Albo też, jeśli będzie tego trzeba,
Ażebyś kij miał, gdy psa przyjdzie obić!

Tak mówił ojciec; a chociaż przy słowie
Ostatniem uśmiech przeleciał po twarzy,
Uśmiech szydery — to w całej tej mowie
Była powaga, jakiś żal i smutek,
Jak gdyby tego, co się na coś skarży!

A matka tylko z płaczem mię ścisnęła
I rzekła: «Synu nie zapomnij matki!» —
Siostra przyniosła bukiet z niezabudek,
Które nad naszym potokiem zerwała,
I z niemym żalem przypięła mi kwiatki
Do piersi, a gdy się do mnie nachyliła,
Rzewnymi łzami te kwiaty zrosiła.

Tak mię żegnali ze smutkiem i z płaczem,
Z czystą miłością i słowem prostaczem,
Z tem sercem, które na to, co tam czuje
Głęboko, wiele słów nie potrzebuje,
Z tą dobrą chęcią, co się z łzami zjawi,
Dobrze ci życzy, tobie błogosławi;
Tak mię żegnali, a ja we łzach stałem
I moich miłych wzajemnie ścisnąłem.
Tak mi się prawie wtedy wydawało,
Jakby mię szczęście wielkie ogarniało
Razem z boleścią, i cudowną siłą

W moją pierś młodą nagle uderzyło.
Zem poznał jasno to wielkie kochanie,
Żem poznał jasno, że mi trzeba na nie
Zarabiać równem kochaniem i czynem;
Poznałem jasno, i że jestem synem
Zacnych rodziców i zacnego ludu,
Któremu trzeba pośród życia trudu
Poświęcić pracę całą siłą młodą!
Poznałem, że jest częstką, członkiem żywym
Ojczystej ziemi, że jestem ogniwem
Tego łańcucha, co nas w jedność wielką
Spaja z tą matką ziemią rodzicielką!
Więc zdało mi się w uniesień nadmiarze,
Że ojciec, matka, że w całym obszarze
Chaty i pola, i gaje i drzewa
Z tą ziemią czarną i z tą jasną wodą
W jakąwąś postać cudowną się zlewa,
I że ta postać do mnie się przybliża,
Bierze w objęcia, żegna znakiem krzyża!...

Więc mi się zdało, że ten głos ojcowski
Złączył się z głosem wszystkim naszej wioski;
Więc z dźwiękiem pieśni nuconych przy żniwie,
Więc z szumem wiatru, co wieje po niwie,
A więc z jaskółki miłym szczebiotaniem,
A więc na rzece ze srebrnem fal graniem:
To się w głos jeden potężny złożyło,
Aby mię w drogę pobłogosławiło!
Tak więc żegnany i błogosławiony
Ojczyste moje opuściłem strony!

Po długiej drodze z kolegami wielu
Stanąłem wreszcie u podróży celu.
Różnych tu krain zeszedli się synowie,
I różne się tu języki jawiły,
Lecz na wszechnicy przedmioty te w mowie
Niemieckiej tylko wykładane były.
Zrazu jam na to nie uważał wcale,
Lecz wiedzy chciwy, w młodzieńczym zapale
Słuchałem nauk. Śród młodzieży tłum
Chciałem być pierwszym w duchowej gonitwie,
Abym nagrody pierwsze wieńce zbierał;
Ale jam *tylko* do skarbcza rozumu
Cudzą naukę, cudzą wiedzę składał,
A serce moje jam tylko otwierał
W cichej i tęsknej dumania godzinie,
Tylko w pokornej i świętej modlitwie,
Wtenczas, gdym myślał o mojej rodzinie,
Kiedym się w duchu z moimi rozgadał.

Tak więc ukrywam skarb drogi w mem łonie;
Przed okiem świata strzegę go i bronię,
Żeby nie tknęła zgubna moc zepsucia
Tej mej miłości i tego uczucia.

Tak trwałem długo — i pokusy żadne
Ani namowy haniebne i zradne
Nie mogły długo złamać mej stałości,
Mych zapatrywań złudzić i omamić,
Nie potrafiły długo mej miłości
Zbrukać, ni uczuć mych nie mogły splamić!

Ale się miała zmienić rzeczy postać:
Zbyt słabem jeszcze było moje serce,
Ażeby w ciągłej, zapaśnej szermierce
Ojców swych wierze wiernem mogło zostać!
Nie miałem jeszcze tyle hartu duszy,
Aby nie zachwiać niczem woli swojej,
Ani też stałem w owej ducha zbroi,
Co moc przeciwną rozbija i kruszy!

Za słabem było jeszcze moje serce,
Ażeby ciągłej oprzeć się napaści
Ciągłych gadanin i wrzasku i gwaru,
Ślepych wyszydzań, drwin i naśmiewania
Z mojej miłości, z mojego kochania
Ziemi rodzinnej! — Mówili szyderce:
«Polskiego ludu na Śląsku już nie ma,
A jeśli żyje — nad brzegiem przepaści
Stoi, a jego już nikt nie powstrzyma
Upadku, bowiem skazan na wymarcie,
I wkrótce będzie on na dziejów karcie
Wymazan; a zaś zapaleńców paru,
Coby to chcieli z jakąś głupią wiarą
I jeszcze z głupszą pracy swej ofiarą
W wymarzonego szale poświęcenia
Powstrzymać chwilę tego zaginienia,
Przepadną marnie — toż próżna ich praca!
Bo przeznaczenie, co ludy wywraca,
Co je w dół spycha z nieprzepartą siłą,
Już się nad ziemią ową wypełniło!

A polskiej mowy, tej tam wcale niema!
Bo czyż się może językiem nazywać
Ta mieszanina słów nędzna i licha,
To *wasserpölnisch*!... Wszak dzisiaj już wszędzie
Czyto we szkołach, w sądzie i urzędzie
Niemieckiej mowy jest zwyczaj używać.
Ta się wszystkiego coraz bardziej ima,
Narzecze polskie wytępia i spycha
Coraz to bardziej w warstwy ludu niższe; —
A zasię szlachta, panowie, mieszczenie,
Więc owe sfery społeczeństwa wyższe
Przyjęły światło niemieckiej kultury,
Która się wzmógłszy w potęgę — tak z góry
Świetna i jasna zwolna na dół spłynie,
Kędy rozpędzi pozostałe cienie,
I tak ustali swoje panowanie!»

Na słowa takie i takie wywody
Jam się oburzał, bo wierzyłem szczerze,
Że powołuje Bóg swoje narody,
Nie narodowych świętości szalbierze,
A nie narodów podli politycy;
Że ludzkość cała od wieków poddaną
Jest w losach swoich niebieskiemu Panu,
Że naród każdy ma drogę wskazaną
Przez Boga i tak długo idzie po niej,
Dopokąd grzechu spodlenia się chroni
Dopokąd idzie podług jego planu.
Że tylko Bożej ulegnie prawicy,
Nie sile wrogów, ani ręce kata!

Bo ja wierzyłem, że wśród tego świata
I ludność polska ma swoje dziedzictwo,
Ma przecież także swoje posłannictwo,
Które wypełni, bo je spełnić musi,
A choć jej dane i pewne męczeństwo,
Ona odważnie drogą swego krzyża
Do przeznaczenia powoli się zbliża,
I do tej chwili, — w której się pokusi
O Ducha świetne i praw swych zwycięstwo!

Lecz słabem było jeszcze moje serce,
A więc upadło. Mówili bluźnierce:
Gdzie Polska dzisiaj? W upadku się chwieje,
Dni swoich końca doszły już jej dzieje.
Ze życia wyżyn lada dzień się stoczy
I los jej piasku nasypie na oczy! —
Lecz lud niemiecki dziś pierwszeństwo trzyma
Pośród narodów, on siłą olbrzyma
Hetmaństwo ludów na ziemi osiągnął,
On rydwan dziejów swą mocą zaprzągnął,
A niszcząc opór i zwalczając trudy,
Do swego wozu przykuł mnogie ludy.
Słowem: on siłą ducha i oręża
Dziś na dziejowej arenie zwycięża,
Europę trzyma swym zbrojnym pokojem
Pod swoją mocą, panowaniem swoim!

I wydał mi się lud mój taki mały,
I taki lichy i taki bez chwały,
Że po raz pierwszy w życiu się wstydziłem
Mojego rodu.

Mnie tak było prawie
Jak studentowi, co się ojca wstydzi,
Że lichy odzian, bowiem mu się widzi,
Że, gdy jest biednym, musi być w niesławie.
Lecz znów powstałem, lecz znów się broniłem
Przeciw tym myślom, co mię tak kusiły
Do brzydkiej zdrady... Lecz w końcu niestety,
Nie mając z nikąd przestrogi, podniety,
Aby się oprzeć tej myśli rozterce,
I do odwagi nie mając zachęty,
Ażeby wytrwać w wierze ojców świętej,
Aby być wiernym ojcowiźnie swojej,
W tej ciągłej walce zemdlały me siły —
Upadłem...

Z uczuć i miłości mojej
Gasła iskierka ciągle po iskierce:
I było chłodnem, zimnem moje serce!

A po tej walce i po tej katuszy
Nastała próżnia wielka w mojej duszy,
Tępota uczuć i zobojętnienie
I wielkie, wielkie myśli mych omdlenie.
Krew w moich żyłach jakieś zimno ścięło,
Bo mego serca coś mi ciepło wzięło.
A oko moje ogniem nie płonęło,
A w twarzy mojej nie miałem wyrazu,
A w piersiach moich miałem czucie głazu.

Lecz serce ludzkie ma naturę kwiata,
Co w sobie wsiąka słodycz albo jady,

Miód bierze pszczoła, co za miodem lata,
A zaś truciznę wysączają gady.

A od trucizny pszczoła miód wyróżni,
Który w ul znosi ludziom ku pożytku,
Którym przyjemność człowiekowi sprawia,
Waż zasię żądło swe jadem zaprawia,
Którym zabija.

Serce to naczynie,
Które nie cierpi nigdy żadnej próżni,
Ani nie znosi żadnego ubytku;
Lecz kiedy z niego czysty źródł odpłynie,
To się napełnia często brzydkim kałem!

I w moje serce teraz całkiem próżne
Wpłynęły myśli, czucia przekonania,
Poglądy całkiem od dawniejszych różne;
Więc tedy zamiast dawnego kochania
Zobojętnienie; zamiast nabożeństwa
Do tego, co mi najdroższem od dziecka
Było, pogarda; dla ojczystej mowy
Lekceważenie, a dla narodowej
Sprawy — haniębne słowo bezceństwa!

A zaś niemiecki język i niemiecka
Kultura, sława, wielkość i potęga
Wszystkie me myśli zajmuje, zaprzęga,
Że to mym było tylko ideałem,
Że tylko tego jednego żądałem,
By zostać *Niemcem!*

A w tej niemieckości
Takem się zażarł i takem się zaciął,
Takem się rozwściekł i takem zapalił,
Że z mojej dawnej sztydziłem polskości;
A zaś niemczyznę wynosił i chwalił,
W czemem mych dawnych nawet nieprzyjaciół
Przeszedł. Następnie w mej niemieckiej bucie,
Chcąc to niemieckie objawić poczucie,
Zostałem *burszem!*

I pośród hulanki,
W hucznym komersie spełnialiśmy szklanki,
Każdy za zdrowie swej wiernej bogdanki.
I ja kochałem, jak tylko za młodu
Miłować można, niemiecką dziewicę,
Starożytnego potężnego rodu,
Sławną ze swego wdzięku i piękności,
Dziewicę Ducha, Pieśni, Poezyi; —
Całą potęgą mej pierwszej miłości
I podziwiałem jej postać nadobną,
W której się wszystkie zalety jednoczą,
Więc główkę cudną, włos w złotym warkoczu,
Okrągłość ramion i jej rączkę drobną
I pełność piersi i białosć jej szyi,
I podziwiałem jej cudowne lice,
I podziwiałem jej plastyczność czoła,
I podziwiałem jej nosek niemiecki,
Co mi swym krojem przypomniiał nos grecki,
I podziwiałem ten czar modrych oczu,
I dźwięk ust srebrny i ich pieśń uroczą,

I podziwiałem ten uśmiech zdradziecki,
Co łatwowiernych tak omamić zdoła,
I myślę sobie, że ona mi zgoła
Zesłaną z nieba na stróża anioła,
Co baczyć będzie wiernie w życia drodze,
Aby cierń ostry nie uwiązał w mej nodze.
A gdy tak wszystko czule podziwiałem,
Na cześć jej głosem zachrypłym zapiałem:
Die Wacht am Rhein!

Tak więc płynęło nowe moje życie
W rozkosznem gronie i piłem obficie
Z kielicha uciech — piłem pełną czarą.
I co dzień jeszcze płonęły ofiarą
Mojemu bóstwu ostatki pamiątek
Ojczystych, aż wreszcie ostatni ich szczątek
Zgorzał.

Lecz dziwna rzecz, chociaż wesoło
Tak się bawiłem, po każdej biesiadzie
Trosk czarnych chmura obsiadła mi czoło,
A serce było pełne niepokoju,
Pełne przesytu, cikliwości, znużenia.

Tak pijanica, w gorącym napoju
Szukając uciech, ciężką głowę kładzie
Na sen trwożący, rano ze snu wstaje
Niezdrows i kwaśny, a więc klnie i łaje.

Nie tak to było w domu przy robocie
Gdy siostra moja śpiewała piosenki

Miłe i proste, takie, jako ona.
Czasem te pieśni brzmiały w słodkiej nucie,
A czasem znowu jak burza szalona,
Co huczy, szumi i zawodzi jęki,
A wszystko niszczy. A po tym przewrocie,
Jak chmura deszczem ciężarna, uczucie
Łzami lunęło. — Tak ci było błogo,
A marzenie cię wiodło jasną, cudną drogą
W dziedzinę piękna.

Jak róża ze złota
Zrobiona tak cię potrafi ułudzić
I taki podziw u ciebie obudzić,
Bo tak misterna jest listków robota,
Tak się wyraźnie znaczą ich kontury,
Tak naturalne są barw wszystkie tony,
Jakby kwiat cały był dziełem natury,
Że w zachwyceniu powiesz wtedy o niej:
To kwiatek żywy, a nie kwiat robiony!...

A jednak będzie to — kwiatek bez woni...

Tak z mową obcą. Chociażby ci była
Ludzkiego ducha najwyższym utworem,
I choćby ona w swe kształty wcieliła
Najdoskonalszą wyrazów plastyczność,
Dziwne słów dźwięki i form poetyczność,
To ci być może co najwięcej wzorem
Naśladownictwa. Ale w twojej duszy
Nie wzbudzi uczuć, ani nie poruszy
I do marzenia serc nie przyspobi,

Ani natchnienia ognia nie rozdmucha,
Ani wielkiego nigdy nic nie robi
Na polu sztuki i nie wyda płodów
Duchowych, ani walczyć będzie bronią
Za niepodległość, za wolność narodów —
Przeciwnie, ona zabija w nich ducha!

Uczucie — mowy ojczystej jest *wonią!*

Tak więc strwoniłem ojcowską majątność,
Bom lekceważył mą ojczystą mowę,
Bo dla wszystkiego, co jest narodowe,
Miałem w mem sercu chłód i obojętność.

Ale natomiast ducha mego siły
Wszystkie się tylko ku temu zwróciły,
By niemieckiego uczyć się języka.
Ale, chociaż nim doskonale władam,
Choć się nim na wskrós myśl moja przenika;
Gdy jego piękność sercem tylko badam,
Czuję, że jemu czegoś nie dostaje,
Że mimo swojej piękności nie daje
Owego ciepła, co serce zagrzewa
Do natchnień wzniosłych, co ducha porywa
Z tej ziemi w jasne ideału kraje! —
Uczułem raczej coś w rodzaju chłodu,
Co życie nasze powoli zamienia
W kształt ów bezmyślny biernego istnienia.

Nastał głód wielki w uczuć mych krainie,
A w mojej duszy miałem czucie głodu!

A myślą moją było: nasycenie
Tych pragnień dusznych.

Lecz jak zdrajca podły,
Którego czyny na braci przywiodły
Nieszczęście, o to, co złego uczyni,
Nigdy samego siebie nie obwini,
Ale potrafi swój czyn tak wystawić,
Jakoby braciom swym chciał korzyść sprawić;
Tak też i ja kłamałem wciąż sobie,
Że to jest dobrem i słusznem, co robię,
I że niemczyzna dzisiaj szczęściem całem
Człeka, że ona wiedzie do karyery
I że mu zjedna uśmiechy i łaskę
Możnych u świata; ja sobie kłamałem
Umyślnie, że to niemiecka kultura
Jest tą promienną wielką gwiazdą, która
Zeszła dziś ludom wszystkim ku zbawieniu,
I w mych uwielbień wielkiem uniesieniu
Czarno-złocistą przewieszam przepaskę
Przez ramię, na niej błyszczały litery:
«Verein deutscher Jugend aus Ost-Schlesien».

I tę przepaskę publicznie nosiłem,
I tem publiczniem przed światem okazał,
Żem się z narodu Polskiego wymazał,
Że się z wrogami mymi połączyłem!
Była to szarfa we służbie szatana,
Z piekieł od niego samego przesłana
Bowiem do boju się nią przepasałem,

Jaki wieść z bracią swoją własną chciałem!
Nie dosyć jeszcze, ja chciałem na karku
Postawić nogę mej braci rodzonej,
By ją do reszty pognać, zniweczyć.
Więc idę sobie prosto do *Nordmarku*,
Gdzie mnie przyjęto szalonym okrzykiem,
Że dziś te straszne słyszę jeszcze tony,
Co mi brzmią w duszy jakby piekła wycie;
Gdzie mi kazali przysiąc, że językiem
Polskim już nigdy, nigdy nie przemówię,
Że tylko będę mówił po niemiecku,
W domu, w kościele i w prostej rozmowie!
Gdzie mi kazali bluźnić i złorzeczyć
Ojcu i matce i braci... Słyszycie —
Kazali bluźnić mnie, polskiemu dziecku.

Och, to już wtedy był szczyt mej podłości!

Nordmark! Ha, *Nordmark!* To szczyt zuchwałości!
Szczyt wszechniemieckiej buty i chciwości:
Od tych pól lackich — tej Piastów sadyby
Pługiem zaborczym odorywać skiby,
Zeby powieszyć niemiecką dzielnicę,
Żeby tu swoją prowadzić granicę!

Ho! ho! Wszechniemcy! Wy tutaj granice
Mieć chcecie, wy, co żyjecie bez granic,
I wszelkie prawo macie w świecie za nic?
Ho! patrzcie na wschód, kędy ona żyzna
Przed okiem waszem leży Słowiańszczyzna,
Czyli was ona nie wabi, nie nęci?

Nie? może przeszłość ciąży wam w pamięci!...
Alboście może dostrzegli olbrzyma,
Co zamkniętymi snem twardym oczyma
Spoczywa. Prawda, może się ocucić
I złości wasze przeciwko wam zwrócić,
Może się gniewem straszliwym zapalić,
I Waszą dumną głowę w proch powalić.

.
.
.

Ta sprawa była nie źle obmyślana:
Godna pomysłu samego szatana
Prawdziwie była to sztuka zbójcka,
Żeby w niemiecki zebrać wielki związek
Polską młodź Śląska, aby szkodzić Śląskowi,
I polską sprawę zniszczyć już w zawiązku!
To polskie drzewo, co konary swymi
Się rozgałęzia po tej naszej ziemi
Prastarej, obciąć z kwiatów i gałązek.
Była to sztuka prawdziwie zdradziecka
Przeciwko ojcu dać nóż w rękę dziecka!

Tak, jako wabik, który siedzi w klatce,
Ptaszki, swych braci, wabi swoim głosem,
Lecą niebaczne i płaczą się w siatce:
Niewola straszna stała się ich losem. —

Tak ja czyniłem. Popieram więc sprawę
Wrogów mych z całym siłą wyęzieniem;

Popieram sprawę -- zgodnie z nowym czasem,
(Iście przewrotnym, zaznaczam nawiasem)
I wkoło siebie gromadzę stronnictwo
Deutsch freundlich gesinnter Polen,
Któreby chciało ojcowskie dziedzictwo
Wrogom za miskę sprzedać soczewicy,
Co zapomocą polskiej jałowicy
Chciałoby zorać niemieckie zagony —
Popieram sprawę jakby odurzony,
Jak opętany tem jednym pragnieniem,
Abym miał pieniądz, order i sławę,
Ale, nieszczęsny, zapomniałem o tem,
Żem sobie zyskał tem — tylko niesławę!
I pasłem świnie!...

Karmiłem się młótem
Pogardy, albowiem chociaż zdrajcom płacą,
Jednak się brzydzą niemi i ich pracą;
Bowiem, kto ziarna takie swą wysiewa
Ręką, nie będzie miał pociechy z żniwa!
Bowiem przekleństwem jest podłej przewiny,
Że wróg zje ziarno, zdrajcy da — łupiny!

I jadłem młoto, — bo mi głos sumienia
Brzmiał w piersi mojej, jak głos potępienia
Mojego czynu. Uczułem więc piekło
W mej duszy; coś mnie we wnętrznościach piekło,
Gdyby głód straszny!

Chciałem w tem strapieniu
Zapłakać, ale oczy moje suche

Łez dla ulżenia żadnych już nie miały;
Chciałem się modlić, ale moje wargi
Słowa modlitwy dawno zapomniały!
A więc we wielkiej rozpacz, zwątpieniu,
Padłem na ziemię, niosąc na los skargi!...

Gdy wielką cierpi natura posuchę,
Spragniona ziemia o deszcz z nieba woła,
Wnet wichur silny pędzi czarną chmurę,
Piorun ocuca zemdlałą naturę,
A deszcz orzeźwia wszelkie zwiędłe zioła.

I mojem sercem wstrząsnął żal i skrucha,
Kiedy wspomniałem na rodzinną chatkę,
Kiedy wspomniałem na ojca i matkę,
I na te siostry nucone piosenki,
Na zapomniane już dawno wyrazy
Ojczystej mowy. Cudowne obrazy
Tej pogardzonej ojczystej krainy,
Szczęście, wesele na łonie rodziny
Wstąpiły w duszę i zgasiły męki!

Spłynęły rzewne łzy po licu mojem,
I błoga radość, nadzieja, otucha
W serce strapione wróciły z spokojem.

A potem cicho spłynęła za nimi
Święta modlitwa, jako anioł z nieba,
Bo wie, że jeszcze czegoś mi potrzeba,
A więc też kornie ukląknę na ziemi
I tak się modłę:

Przeciwko Tobie, zgrzeszyłem, mój Boże!
Każde z Twych stworzeń Tyś uczcił swym znakiem,
Wszystkoś rozróżnił we świata przestworze:
I mnieś na ziemi dał zostać Polakiem!
A ja z pogardą znak ten odrzuciłem:
Przeciwko Tobie, Boże mój, zgrzeszyłem!

Z Twoich narodów wszystkiego języka
Głos sobieś stworzył uwielbień i chwały,
Tonem mów wszystkich brzmi niebios muzyka
Dźwiękiem wszechświata brzmi niebios gmach cały!
A ja mą mową ojczystą wzgardziłem:
Przeciwko Tobie, Boże mój, zgrzeszyłem!

Przeciwko tobie, zgrzeszyłem, mój ojcze!
Bo pohańbiłem święte twoje imię,
Bom podniósł ostrze pogardy zabójcze,
By niem wytępić własne swoje plemię!
Ja się mej mowy ojczystej wstydziłem:
Przeciwko tobie, ojcze mój, zgrzeszyłem!

Jam twej krwi częstką, częstką twego ciała,
Ale stargałem węzły pokrewieństwa,
Bowiem krew moja przeciw twej powstała;
I jam polskiego związku społeczeństwa
Zerwał, bowiem go zgubić zamyśliłem:
Przeciwko tobie, ojcze mój, zgrzeszyłem!

Lepiej być sługą chociażby najmniejszym
W domu ojcowskim, gdzie jest chleba dosyć,

Jak być w obczyźnie panem najprzedniejszym
I służyć podle, łaski wrogów prosić!
I jam był takim — lecz oto wróciłem: —
Przeciwko tobie, mój ojczy, zgrzeszyłem!

A kiedy wrócił syn twój marnotrawny,
Co się w obczyźnie dał w podług usługę,
Racz go powrócić w stan godności dawnej,
Lub go przynajmniej chciej przyjąć za sługę,
A będzie służyć wiernie i wytrwale
Ku Bożej chwale i ku twojej chwale!

Czule uściskał ojciec swoją stratę
I pocałunek na mym czole złożył;
A potem wyniósł ową przednią szatę
I pierścień złoty na mą rękę włożył.
Szata i pierścień: znak łaski ojcowskiej
I przywróconej godności synowskiej.

A tak stanąłem w tej ojcowskiej szacie
I z tym ojcowskim na ręce pierścieniem
Do wiernej, naszej narodowej pracy!
Stanąłem z cichem i skromnem życzeniem,
Że dla zachęty, kochani rodacy,
Sąd pobłażliwy o niej mi wydacie.

IV.

ŚPIEWY STAREGO JAKÓBA

WSTĘP.

Pytasz, pachole, czemu jestem smutny,
Dla czego życie pędzę bez uciechy?
Może ty myślisz, że mię los okrutny
Karze za jakie bezprawia i grzechy?
Lub może tęsknię za tymi, co sobie,
Życiem strudzeni, legli dawno w grobie,
Mnie zostawiwszy samego na ziemi
Z temi mojami myślami tęsknemi?
Albo też myślisz, że się zbytnio troszczę
O ziemskich darów hojne używanie
I że bogaczom ich losu zazdroszczę
I wspaniałości w wysokim ich stanie?
O, nie pachole, nic z tego wszystkiego!
Pan Bóg był łaskaw także dla biednego,
Ja także częśćkę z działu szczęścia wziąłem.
Zresztą, ja wiele nigdy nie pragnąłem,
Więc kontent jestem z życia własnej doli;
Lecz co innego, co innego boli!
Inne cierpienia twarz zmarszczkami zryły,

I włos siwizną całkiem przyprószyły...
I moje życie smutkiem napełniły!

Moje pacholę, patrz, w późnej jesieni
Stoi dąb w lesie silnie, rozłożyście;
Naraz nieznacznie liść się jakoś mieni,
Aż wszystko jego pożółknęło liście.
Myślisz, że liście pożółkło dla tego,
Ponieważ karmy zabrakło dla niego,
Ponieważ słońce za blado świeciło,
Ponieważ niebo piorunami biło?
Lub że robaki rdzeń życia toczyły
I jego soki żywotne wypily?
O, nie dla tego, o, nie własne losy
Przyczyną tego pożółknienia były.
Lecz, że grad w polu wybił pełne kłosa,
I że na niwie plony się zniszczyły;
Ze straszna powódź brzegi pozrywała
I wszystkie kwiaty w falach pogrzebała;
I że błon była bezbarwna i blada,
I że powietrze bez wonnego tchnienia,
I że dokoła ni dźwięków, ni pienia;
Że cała niwa kwiecista popada
Powoli w rodzaj martwoty, omdlenia!
To wszystko widział i odczuł ból wszystek,
Więc całkiem pożółkł każdy jego listek!

I mnie tak było — bo i ja widziałem,
Co się tu działo na ojczystej ziemi;
Bo życiem całem związany z jej losem,

Uczułem wszystkie najlżejsze jej drgnienia,
Gdy na nią padał nieszczęść cios za ciosem;
Uczułem wszystek jej ból i cierpienia,
Że z tego bólu całkiem posiwiałem!
A w każdym włosie złożony z osobna
Jakiś wypadek lub zmiana żałobna;
I wszystko, co się u nas wydarzyło,
Ciężkiem się echem w mej piersi odbiło;
Wszystko, co zaszło — wyrazy ciężkimi
Tych cierpień ślady w życiu zostawiło!

Jam odczuł wszystko, bom żył każdą chwilę
Życiem mych braci, znał wszystkie ich myśli,
Znał czem upadli i czem się podnieśli.
Niekiedy stali w takiej ducha sile,
Że mi się zdało, iż oni zdobędą
I już na zawsze, na wieki posiędą
Dziedzictwo ojców; — lecz znów byłem świadkiem
Wielkiej słabości, jakiejś małodusznej
Wiary w zwycięstwo naszej sprawy słusznej,
Która to słabość kończy się upadkiem!

Pomnę — w czterdziestym ósmym roku z wiosną
Niebo zesłało nowinę radosną,
Że w naszym Śląsku pańszczyznę zniesiono;
I naród cały, jakby jedno łono,
Owiało na wskrós uczucie wolności,
Przejęło na wskrós uczucie równości!
Myślałem wtedy, że jak ptak więziony
Spróbuje skrzydeł i swobodnym lotem

Wzbije się w słońce, lecz już nigdy w strony
Swego więzienia nie zleci z powrotem;
Tak też lud śląski, powstawszy od pługą,
Którym pracował ciężko na swe pany
Jako niewolnik wzgardzony i sługa,
Wzniesie się duchem, popłynie nad łany
Ojczystej ziemi, ponad fale kłósów,
A posłyszawszy w ich szeleście losów
Swych historyę, pojmie ją i stanie
Wolnym, swobodnym na tym swoim łanie!

Ale zanedto ciężły te pęta,
Zanedto była ta obręcz ściśnięta,
Która trzymała ducha w udręczeniu;
Zanedto chwile przeszłości utkwiły
Wszystkim w pamięci, by mieć tyle siły,
Aby się podnieść w jednym okamgnieniu!

Jak ta z Egiptu wracająca rzesza,
Lud nie zrozumiał wolności swej daru.
Więc zamiast wznieść się swym duchem do nieba,
Wśród krzyków, kłótni i szemrań i swaru,
Wołali tylko: chleba, wody, chleba!
A że nie mieli za wodza Mojżesza,
Ani pomniejszych słuchali proroków,
Wpadli w moc gorszych, niżli przedtem oków,
Bo wpadli znowu w moc ducha niewoli!
I nieszczęśliwi, do ojczystych progów
Wnieśli cześć cudzych, cześć fałszywych bogów.
Niewinne serca swych dzieci zatruli,

Bo je uczyli tym Bogom się modlić,
Bo je uczyli ohydnie znieważać
Swoje świętości, a obce poważać —
O! takie dzieci musiały się spodlić!
Widziałem nieraz, jak ludu pasterze,
Co opowiadać mieli Boże słowo
I jego święte ogłaszać przymierze,
Gardzili sprośnie ludu tego mową.
A przecież mowa jest świętem ogniwem,
Która człowieka łączy z Bogiem żywym;
Jest jako gdyby szczerozłotą czarą,
Co napełniona miłością i wiarą,
Co obfituje w wszystko wielkie, świetne,
Wszystko cnotliwe, dobre i szlachetne;
Z której na naród cały niebios płynie
Błogosławieństwo, płynie Boża łaska;
A gdy się stłucze ta czara i strzaska,
Wtedy na wieki naród taki zginie!

Och! umiłował Chrystus świat ten bardzo,
Że posłał uczniom ducha swego dary,
Aby narodów strzegli złotej czary!
A więc ci, którzy mową ludu gardzą,
Zrzucają sprośnie z czoła święte znamię!

I gdyby do cię przyszedł i pozdrowił
Cię w imię Boga i gdyby ci mówił
Takowy kapłan, że jest sługą Chrysta,
Jeśli u niego w pogardzie ojczysta
Mowa, nie wierz mu, nie wierz — on kłamię!

Widziałem nieraz, jak nauczyciele,
Którym rodzice dzieci powierzyli,
Jak skarb najdroższy — ten skarb spustoszyli;
Bowiem w serc dziatwy niewinnym kościele
Miłość do ziemi ojczystej zabili,
A to jest gorsza niż Judasza zdrada!
Bo Judasz zdradził w chwili pokuszenia,
Tylko ze zysku głupiego pragnienia,
Ale nie wstrzymał dzieła odkupienia!
A tu lud ginie wiecznie i przepada!

Albowiem miłość do ojczystej ziemi
Jest jako gdyby sznurek szczeroloty,
Na którym wszystkie narodowe cnoty
Lśnią się i mienią perłami cudnemi.

Lecz perły prysną, kiedy się sznur starga,
A życie bez cnót splami się i zszarga!

A za wodzami lud bezwiednie kroczył,
Orał swą ziemię, zasiewał i włóczył,
I czekał potem cicho i spokojnie,
Czy będzie zbierał lichu albo hojnie.
On nic nie pragnął innego prócz chleba.
Cóż mu po myśli jakiejś dziwnej z nieba,
Co życiu innych narodów przyświeca,
Co ich podnosi i co ich zachwyca;
Za którą walczyć wciąż mają gotowość,
A która nosi miano — narodowość!
Oni na takie rzeczy obojętni,

U nich inaczej w piersi serce tętni!
Bóg im dlatego ziemię porozdawał,
Aby z niej mieli chleba spory kawał!
A jacy ojce, tacy też synowie!
Ba, oni poszli jeszcze trochę dalej,
Bo wyuczeni w cudzoziemskiej mowie,
O sprawy swojskie zupełnie nie dbali.
Z serca wyparli miłość dla narodu,
Dla pół ojczystych i ojczystej chatki:
Choć tam coś czasem pierś młodą wezbrało,
Że się ojczyste pieśni zaśpiewało;
Była to iskra wykrzesana z lodu!
A ona tylko błyszczy, a nie pali!

Więc przyszła smutna rodzicom godzina:
Ojciec swojego nie poznawał syna,
A syn się zaparł i ojca i matki!

Więc kiedym patrzył na taką niedolę
Mej ziemi, wpadłem we wielkie zwątpienie,
Bowiem widziałem, jako nam na czole
Los — ten niszczyciel, już pisze: Zginienie!

Lecz kiedym wpadał w rozpacz coraz więcej
I duszę karmił boleścią i żalem,
Słyszałem: «Jeszcze jest siedm tysięcy,
Co nie zginają swych kolan przed Baalem!
Przez nich Bóg będzie łaskaw i pozwoli
Że naród z ducha wywiodą niewoli!»



I.

TO NIEMIEC.

Uczęszczał do szkoły ludowej,
Uczył się na książce z *kogutem*;¹⁾
Gdy umiał już czytać, to potem
Niemczyznę mu kładli do głowy.
A nikt nie rozmyślał tam o tem,
Że się to z rozumem nie zgadza,
Lecz torem systemu wykutym,
Szedł sobie, gdzie pchała go władza.
Wokabuł się uczył najpierwej,
Za niemi szły dalej *geszprächy*,
Do których się zabrał bezzwłocznie
I których się uczył bez przerwy.
Potem go wpisano na *signie*²⁾

¹⁾ Na pierwszej stronicy dawniej używanego na Śląsku elementarza był obrazek, przedstawiający koguta. Stąd elementarz nazywany był «książką z kogutem».

²⁾ Głównym celem dawnej szkoły ludowej była nauka języka niemieckiego. Wszystko się do niej odnosiło i tak było urządzonem, aby ją wspierać i umacniać. Chłopiec, nauczysz się

Co sprawiło mu wiele uciechy,
Bo myślał, że on się podźwignie
Nad swoje współucznie wysoko,
Gdy mówić z niemiecka już pocznie!
A choć to szło ciężko, z *przymusem*,
I choć mu się w mózgu plątało,
I chociaż się kreski mnożyły,
I różgą za każdą się brało:
Aż z bólu spłynęło łzą oko,
Ta myśl, że zostanie prymusem,
Dodała wytrwania i siły.
A że trudno do różgi przywyknąć,
Bo go to djabelnie bolało,
Kiedy za kreski się brało:

jako tako czytać, uczył się następnie słów niemieckich, czyli *wokabul*, potem zaś rozmów, czyli *geszprechów*. Skoro w *geszprechach* o tyle postąpił, że mógł na najprostsze pytania po niemiecku odpowiedzieć, obowiązany był, pod grozą kary, używać tylko języka niemieckiego. W tym celu wpisywano go równocześnie na *signę*. Była to mała drewniana tabliczka z rączką, w formie kijanki, powleczone białym papierem i zapisana nazwiskami tych wszystkich, którzy byli obowiązani mówić po niemiecku. Za każde słowo, przemówione po polsku, pisano kreskę na signie, a za każdą kreskę bito z końcem tygodnia t. j. w sobotę, różgą po dłoni. Ten zaś, który miał najwięcej kresek, oprócz plag otrzymanych musiał nadto *signę*, uwiązaną na sznurku i przewieszoną na plecy, zanieść do domu i na nowo białym oblec papierem, aby ją następnie w poniedziałek oddać nauczycielowi. Można sobie wyobrazić śmiech i urągania współuczniów, które biedakowi towarzyszyły do domu. Była to największa kara i hańba, jaka chłopców spotkać mogła! Dziś *signy* niema, ale duch systemu, stawiającego język niemiecki na czele nauki szkolnej, przetrwał do dzisiaj a gdzieśniedzie nawet ze spotęgowaną rozwielnął się siłą.

/16

Trzeba więc tych kresek uniknąć!
I dziecka dusza prostacza
Odkrywa wreszcie myśl przednią:
Po prostu używa tłumacza,³⁾
Rozmawia po polsku pośrednio,
Gdy wprost po polsku nie może!
Cóż go tam przepisy obchodzą,
Gdy sobie tylko pomoże;
Przepisy te wcale nie szkodzą
Temu, co w matactwach się wyzna!
I śmielej się teraz gadało,
Odkąd się mu tylko udało

³⁾ Gdy się przypadkiem w szkole zebrali tylko tacy uczniowie, którzy obowiązani byli do rozmawiania z sobą po niemiecku, panowała zazwyczaj cisza, z tej prostej przyczyny, że tym językiem mówić *nie umieli*. Skoro jednak pojawił się taki, który nie był jeszcze obowiązany mówić po niemiecku, rzecz się natychmiast zmieniała. Obstępowali go dokoła i zaczęli rozmawiać z sobą — *po polsku*, używając go za pośrednika, lub *niemego* tłumacza, bo z nim po polsku wolno im było mówić. Np. Jan A. zwraca się do pośrednika i mówi: «Powiedz Pawłowi B., żeby mi oddał książkę». Zagadnięty w ten sposób ubocznie Paweł B. przystępował z kolei do pośrednika i odrzekł: «Powiedz Janowi A., że mu książki nie oddam, bo nie jest jego», i t. d. W ten sposób porozumiewali się wszyscy po polsku, nie przekraczając przepisu, nakazującego im rozmawiać z sobą po niemiecku; nie rozmawiali bowiem *wprost ze sobą*, ale *pośrednio*, przez owego niemego tłumacza, z którym po polsku mówić było im wolno. Jeżeli się jednak który pomylił i zamiast przez pośrednika, odezwał się po polsku wprost do współuczniwa, z którym powinien był mówić po niemiecku, natychmiast wołano: «*Hat polnisch gesprochen*» i dostawała mu się kreska na signie, wypłacana z końcem tygodnia — różgą.

Wykręcić tym kreskom przeklętym;
I z niemałym też odtąd talentem
Szła mu *po polsku* niemczyzna!

Wystąpił ze szkoły nareszcie
Zrobiwszy przepisom zadosyć,
Bo umiał niemieckich słów *dwieście!*⁴⁾
Nie trzeba mu więcej niemczyzny,
Bo mało potrzeba, jak wiecie,
Ażeby być Niemcem na świecie!
A później się zewlókł z chłopszczyzny
I zaczął się nosić po pańsku.
A że polskie miano mniej błyska,
Podług panującej maniery,
Ze swego polskiego nazwiska
Polskie wykreślał litery.
Co się też zupełnie pochwała,
Za co cześć pozyskał niemałą,
Bo przedtem się pisał *Cinciałą*,
Teraz się pisze *Tintala!*

Tak tedy się całkiem odmienił,
Swem gardził, a obce znów cenił.
Z urzędem kościelnym czy świeckim,
Znosił się w języku niemieckim.
Niemcom swe serce otwierał,
Wszystkich do sejmu wybierał.

⁴⁾ Obowiązujące przepisy szkolne wymagają, aby dziecko zaraz w pierwszym oddziale wiejskiej szkoły ludowej nauczyło się 200 słów niemieckich.

A nienawidził Polaków,
Chcąc wszystkim dać *Laufpas nach Kraków*.

Raz tak się w swej mowie zapalał,
Gdy wyższość niemiecką wychwalał,
Że mówił: iż nam dowiedzie,
Ze z mową niemiecką świat cały
Z południa na północ przejedzie!

Jedź sobie, jedź, myślę, nieboże!
Więc gdy się raz wybrał w podróżę,
Pojechał *na Cieszyn, Fablonków*,
Następnie *na Skoczów i Bąków*,
Do domu zawrócił się — z *Białej*!

II.

TO POLAK.

I on także uczęszczał do szkoły ludowej,
I jemu także ową wsławioną metodą
Przepisaną niemczyznę kładziono do głowy,
Karmiono cudzą strawą jego duszę młodą.

Widać było, że mu źle cudza strawa padła,
Albowiem, gdy się jeszcze uczył abecadła,
Był pilny i wesoły, sprytny, rozgarniony;
Zdało się, że w naukach współuczniów prześcignie.
Lecz odkąd jego imię wpisano na *signie*,
Jak gdyby to nie ten był, tak bardzo zmieniony! —
Chce mówić, ale *signa*, jako gdyby pęta,
Któremi władza mowy została ściśnięta,
Każe milczeć, lub mówić niemieckim językiem.
On nie chce, bo się jeszcze nie umie wysłować,
On chce się uczyć mowy, lecz nie chce nią mówić.
On nie chce, bo go w domu po polsku uczono,
Bo tą mową anielską tak rozbrzmiało łono,

Ze każdą myśl swą chciałby w jej dźwięki ustroić.
Więc się z mową niemiecką nie może oswoić,
I przemówił po polsku. — A tu z wielkim krzykiem
Wrzasnęli współuczniowie:

Hat polnisch gesprochen!

Jak gdyby hańbą było, jakby zbrodnią było
To, że się do swej braci po polsku mówiło!
Więc i modlitwa hańbą? — bowiem dzisiaj z rana
Przed tron Boga po polsku była zasyłana!
I te pieśni nabożne, co z pod jego strzechy
Płynęły, zasłużyły na drwiny i śmiechy?

Za każde słowo polskie pisano na *signie*
Kreskę czarną, a w końcu każdego tygodnia
Przejrzano i zliczono ściśle wszystkie kreski:
Tu dopiero się stała jawną wielka zbrodnia.
Za każdą czarną kreskę wziął różgą po dłoni!
Uderzajcie! przed taką karą się nie wzdrygnie,
Ani się twarz szlachetna jego nie zapłoni!
Z ócz mu z bólu wielkiego popłynęły łezki,
I z bólu mu wielkiego posiniały dłonie,
Lecz on przez tę mgłę płaczu widział cudne błonie
Ojczyste — cudne kwiaty wśród traw zieloności;
Więc zapomniał mąk swoich w krzyżu swej młodości,
I oddychał znów śmieiej, wolniej i swobodniej...
Takiej kary nie wszyscy stawają się godni!

Lecz jeszcze mąk nie dosyć. Ponieważ najwięcej
Miał on kreszek na *signie*, więc się go skazało

Ażeby *sięgnę* w domu oblókł znowu biało
I przyniósł znów do szkoły. Idzie wśród dziecięcej
Zgrai, co mu urąga:

Hat polnisch gesprochen!

Ach, tak! za to, że w szkole po polsku przemówił,
Za to, że swych współuczniów po polsku pozdrowił,
Musiał nieść na swych plecach to hańby narzędzie,
Musiał iść wśród urągów i szyderstw swej braci,
Co go tak prowadzili, jak złoczyńcę kaci,
By na pręgierz postawić! — I do domu idzie,
Z hardą dumą w obliczu, nie w hańbie, nie w wstydzie,
Bo to narzędzie hańby dlań zbawieniem będzie!

A później w jego życiu, jak często się stało,
Gdy z niemieckiej kultury wcale nie korzystał,
Lecz do sprawy ojczystej się przyznał i przystał,
Gdy pod sztandar narodu swego stanął śmiało,
Że usłyszał z pogardą:

Hat polnisch gesprochen!

I zaraz w księgę czarną kreskę napisano,
Za którą zasłużoną karę mu też dano! —
Wprawdzie, że już nie różgą. O, jest inny sposób
Kary, co przeznaczony dla takowych osób:
Dać innym, co onemu z prawa się należy;
Jemu zasług prawdziwych, gdzie można zaprzeczyć,
I pracy jego skutki, gdy się da niweczyć;
Sprawić, że do zaszczytów nigdy nie dobieży,

Sprawić, żeby gdziekolwiek był upośledzony,
I żeby inny zbierał pracy jego plony!

A kiedy nie ustaje wśród poświęceń trudu,
I głośno się domaga słuszných praw dla ludu;
Kiedy ten lud oświeca, i kiedy się stara,
Ażby się nie wyparł, nie wyrzekł swej mowy,
Albowiem ojców mową stoi ojców wiara,
Stoi przyszłość i siła i byt narodowy;
Wtenczas krzykną na niego:

Hat polnisch gesprochen!

III.

ZIEMIA NASZA.

A czy znasz ty bracie młody
Twoją ziemię, — a tej ziemi
Kwietne błonia, lasy, wody?
Spojrzyj tedy oczy swemi
Tu z tej góry na dół. W dole
Jakby karta malowana,
Kraj gdzieś nieba w dali sięga,
Gór ogromy tam w półkole
Rozłożyły się; z ich czoła
Wisły, Olzy spływa wstęga:
To twa ziemia ukochana!
Rozpatrz tylko się dokoła —
A gdy obraz ten uroczy
Nie odbije się w twojej duszy,
I gdy serca nie poruszy,
Że nie zajdą łzami oczy:
To twoje serce jest z kamienia!

Patrz na obraz, jak się zmienia!
Porznięty w różne tablice
Malowane: to twe pole,
Kwietne łąki, lasy, gaje —
Patrz! mnie się to tak wydaje,
Jak gdyby na wielkim stole
Leżała księga rozwarta —
A tej księgi każda karta
Zapisane ma stronice:
Co się tutaj kiedyś działo,
Jacy ludzie tutaj żyli,
Co zdobyli lub stracili
I czy żyli jak przystało!

Patrz! tam, jakby białe kwiaty,
Rozkwitłe na pół kobiercu,
Rozsiadły się ojców chaty.
Tak w nich zda się cicho, święcie,
Jak w pobożnem, dobrem sercu;
Dym z nich prosto w niebo strzela
I czeka na wniebowzięcie,
Jak kiedyś Abła ofiara.
O! gdzie w piersiach święta wiara,
To tam pewno grzechu niema;
Złe się u nas nie rozściela,
Jako kiedyś dym Kaima!

A gdy wieczór spojrzysz nadół,
Jakże cudnie i jak złudnie

Błyszczą okna chatek wiejskich,
Jakby z krain tam niebieskich
Spadły gwiazdy na ten padół.
Gdy tak stoisz zachwycony,
To cię naraz dźwięk uderzy,
Dźwięk tak cichy, a tak czysty,
Że wyraźnie lubę tony
Rozpoznasz pieśni ojczystej.
Pieśń się coraz bardziej szerzy,
Wiatr ją po tych górach niesie,
Coraz wyżej, wyżej pnie się
I umilknie aż gdzieś — w niebie! —

Spojrzyj jeszcze koło siebie
Bracie, widzisz, ot tam w dali
Coś się bieli — jak na fali
Wody białych gęsi stada;
Lub tak, jakby na murawie
Kwitła stokrotek gromada.
Z nich kilka bielszych wyrasta
Nad główki pomniejszych w trawie,
Zdają się rość coraz wyżej
W błękit nieba: To są miasta
Nasze, bracie, to kościoły,
Te strażnice świętej wiary,
Co wyższemi swemi czoły
W niebo dążą znakiem krzyży —
Błogosławią te doliny,
Błogosławią wzgórze, lasy,
Modlą się, by w wieczne czasy

Dziedzictwo ojców na syny
Przechodziło!...

Popatrz jeszcze:

Widzisz szare mury starej
Wieży Piastów? — a choć z wieży
W błękit nieba krzyż nie bieży,
Lecz chorągiew tam szeleszcze,
Przecież to jest wieża święta:
Stare czasy ci pamięta
I pamięta stare dzieje,
Wie, przez jakie to koleje
Przechodziła ziemia nasza.
A jako tej ziemi czasa
Przechowuje moc napoju
W swem łonie, nim na kształt pienia
Rodzinnego krzepi siły,
Byśmy nie upadli w boju
O byt nasz, lecz poświęcenia
Żyli życiem — bez wytchnienia
Aż do skonu — do mogiły!

— — — — —

IV.

NAD OLZĄ.

Płyniesz, Olzo, po dolinie,
Płyniesz, jak przed laty;
Takie same na twym brzegu
Kwitną wiosną kwiaty.

A twe wody w swoim biegu
Się nie zamąciły;
I tak samo lśnią się w słońcu,
Jak się dawniej lśniły.

Ale ludzie w życiu swoim
Zmienili się bardzo;
Zwyczajami, wiarą przodków
Ledwie że nie gardzą.

I dąb z dębem na twym brzegu,
Jak szumiał tak szumi;

Lecz wnuk starą mowę dziadów
Ledwie że rozumie.

Na twym brzegu dawnym śpiewem
Słowik się odzywa;
A dziś śliczne pieśni nasze
Ledwie że kto śpiewa!

Jordan w ziemi Chananejskiej,
Święte ma znaczenie:
W jego wodach Izraela
Lud brał oczyszczenie.

Więc z modlitwą uklęknąłem
W pokorze przed Panem:
Byś się stała, Olzo, takim
I dla nas Jordanem! —

A tak kiedyś — gdy nad falą
Wiosną wiatr zawieje,
Wnuk usłyszy w fal twych szumie
Przodków swoich dzieje,

I usiedzie na twym brzegu
Dumać nad przeszłością —
I żyć będzie dla swej ziemi
Czynem i miłością!

V.

NIE MOGLIŚCIE JEDNEJ GODZINY CZUĆ ZE MNĄ?

Nad górą Oliwną blady księżyc wschodzi,
Płynie po tle czystem, to znów tonie w chmurach,
I przez nie przegląda jak w cierpień koronie;
I znowu wychodzi i światła promienie
Wiesza po starych drzewach Getsemane,
Co pamiętają czasy Dawidowe;
I swoje promienie rozrzuca na fale
Potoka Cedron,
By je oczyścić
Z brudów ziemi,
Które potok zabrał, płynąc przez dolinę.
Cisza w ogrodzie. Natura cała
Wstrzymuje oddech,
Jak człowiek, który czeka wielkiego zdarzenia.
Jakieś postacie
Ciche, milczące
Kierują kroki swoje do ogrodu.
A księżyc jasną oświeca pochodnią

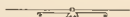
Ścieżkę,
Aby się w drodze niepotknęła noga.
To Mistrz i jego dwanaście!
Idą.
A tam, gdzie drzewa już gęściej stanęły,
Odłącza się jeden od grona
I znika w nocy ciemnościach!
Tak ginie perła,
Co z sznura koralu
Odrywa się i pada na ziemię...
I przeszli potok. A mistrz rzekł do rzeszy:
Zostańcie i czuwajcie i módlcie się ze mną!

Rzekł, odszedł o staję
I modlił się!
I świętą modlitwą
Oblekał duszę
Niby jasną, słoneczną Anioła szatą,
Aby w niej stanąć do wielkiej ofiary!
Modlił się. Ale myśl zbawienia
Całym ciężarem grzechów lat tysiąca
Obciążona, tak silnie upadła na duszę,
Że w dźwigania pracy
Po twarzy
Potu krople ściekały krwawe.
A moc ciężaru
Rośnie, olbrzymieje,
Gdy dusza sama czuć musi i cierpieć!
A więc Zbawiciel wstaje od modlitwy,
Idzie do uczniów, aby się posilić

Ich współmodlitwą, ich szczerem współczuciem.
Lecz oni spali... a on sam pozostał
Z myślą zbawienia, z uczuciem mąk krzyża!
On sam pozostał wśród śpiących spokojnie,
Podczas gdy szatan całą moc wyteżał,
Aby na niego skutecznie uderzyć;
Podczas, gdy kapłan najwyższy, kapłani
I starsi z ludu i faryzeusze,
O tem radzili, jakoby go zabić;
Podczas gdy Judasz staje im do usług
I Mistrza swego obiecuje wydać!
A oni spali! — Czegoż on chciał od nich?
Tylko współmodlitwy!
Tylko współczucia!
A więc je budzi i rzece z boleścią:
«Nie mogliście jednej godziny czuć ze mną?» —

Bracie! co kochasz twą ziemię
Chrystusa świętą miłością,
I chciałbyś ją zbawić
Z ucisku wroga i podnieść z upadku:
Czemu narzekasz, iżeś sam, jedyny,
I że cię wszyscy w pracy opuścili?
Czemu narzekasz, że cię nie pojmują
I w wielkiej pracy ty stoisz sam jeden?
Wszakże nie wszystkim dano wzrok przyszłości,
Nie wszyscy wiedzą, co dla dobra służy.
Czemu narzekasz, iżeś zdrady doznał
Od tych, co tobie mieli być pomocą?
A twoi bracia śpią sobie bez troski,

Gdy twoje wrogi twój upadek knują?
Módl się i działaj!
A pracy Ducha
Nie rozdzielaj ziemskich jednostek miarą!
Módl się i działaj!
A gdy kielich poświęceń wychylić wypadnie,
Anioł miłości
Zestąpi z nieba
I gorzkość osłodzi napoju!



VI.

ZAKOŃCZENIE.

Do śląskiej młodzi!

Ziemia nasza bracie młody
Śpi jeszcze, śpi jeszcze;
Nad nią ciche szumią wody,
Ciemny bór szeleszcze.

Bór szeleszcze, woda szumi,
Ona marzy, marzy,
Wróg tymczasem, jak to umie,
U nas gospodarzy.

Więc ją bracie zbudź z uśpienia,
Niech już dłużej nie śni;
Lecz jej w chwili przebudzenia
Zanuć nasze pieśni!

Pieśni polskie nuć, by one
Znowu przywróciły

Długiem spaniem osłabione
I zdrowie i siły.

I niech pieśń się wszystkich łączy
W jeden śpiew radosny,
Niech to będzie śpiew skowronczy
Nowej, przyszłej wiosny.

Gdzie nie pójdzie zasiew marno,
A ojczysta niwa
Tysiąckrotne wyda ziarno,
Gdy nadejdą żniwa.

Toż to potem święto będzie
We śląskim narodzie,
A młódź pójdzie w pierwszym rzędzie,
Młódź pójdzie na przodzie.

I swych wielkich wieszczów pienia
Zagrzmi z piersi całej;
Wtenczas, wtenczas dzień zbawienia
Zabłyśnie wspaniały!



V.

MOJŻESZ

MOJŻESZ.

Exodus 2.

I nie może już dłużej zataić dzieciny,
Dzieciny tylu westchnień łez i modlitw tylu;
Robi sobie plecionkę małą z rzecznej trzciny
I w niej ją położyła między rogów Nilu.

Łonem swoim zdradliwa objęła ją rzeka,
Ale nad nią niebieska czuwała opieka,
I modlitwy matczyne, co szły do Jehowy,
Nie dopuściły, aby spadł włoszek mu z głowy.
Sprawiedliwa, najmędrsza Odwiecznego rada
Tej maleńkiej dziecinie los świetny układa,
Tóż swojego anioła zsyła z nieba do niej,
Ażeby ją ratował z zgubnej wody toni.

Idzie córą królewska, z nią jej służebnice,
By w chłodnej fali rzeki używać kąpieli
Po skwarnym dnia upale. Zbliża się ku rzéce
Taka jasna, świecąca, taka cała w bieli
Jak gdyby na tę ziemię zstąpił anioł Boży;
Kroczy w bród i — dziecinę znajduje w rogoży.

Dziecię do niej malutkie wyciąga rączęta
Żebrząc płaczem litości; więc litością zdjęta,
Biedne dziecię hebrajskie przyciska do łona
Biedne dziecię hebrajskie córą Faraona
Bierze na drżące ręce, pieści i całuje,
Biedne dziecię hebrajskie za syna przyjmuje.
Nie płacz mała dziecino, z zdraonej rzeki fali
Litość ciebie anielska wyjmie i ocali:
Nie płacz mała dziecino; z zimnej twej kąpieli
Miłość ciebie położy na ciepłej pościeli,
A Bóg, co cię od zguby strzegł na wód głębinie,
Kiedyś dziwne swe sprawy nad tobą rozwinie.

* * *

A tak na łonie matki dziecię znów spoczywa,
A ona je do serca znów tuli szczęśliwa.
Ach! nie zmierzysz ty szczęścia żadną miarą w świecie,
Gdy znowu matka ściska utracone dziecię,
Ani w sercu uczucia nie zgłębisz radości,
Jaka w nie po przebytej nadpłynie żałości.
Albowiem żal i boleść serdeczna jest wielka,
Lecz stokroć większa każda radości kropelka!

A matka trzyma dziecię znów na łonie swoim
I karmi je swą piersią, karmi tym napojem,
Co całej jej istoty był myślą i treścią:
Więc je karmi okropną przebytą boleścią,
Karmi je temi łzami, któremi zrosiła
Plecionkę, w której je do wody włożyła;

Więc mu z mlekiem dawała pić skargi i żale,
Które za swem dziecięciem rzuconem na fale
Nilu, ku niebu stała: karmiła westchnieniem
Nad swojego narodu srogiem uciśnieniem!
I dla swoich oprawców karmiła je wzgardą,
Nienawiścią i zemstą groźną, dumą hardą.
Ale też je karmiła tą wielką radością,
I tem szczęściem nad cudnem jego ocaleniem,
I swoją całą świętą matczyną miłością!
Karmiła je marzeniem o ojczystej włości,
O tych błogosławionych Chananejskich błoniach,
O tych wodach szczęśliwych i rozkosznem niebie,
O tych kwiatach czarownych, ich rozkosznych woniach,
Które przechodnia nęcą i wabią do siebie;
Karmiła je serdeczną tęsknotą za niemi,
Karmiła upragnieniem narodu wolności
I rychłego powrotu do ojczystej ziemi,
Karmiła je dźwiękami, pieśniami swej mowy,
Karmiła uwielbieniem i chwałą Jehowy!
Tak — ona je karmiła całym życiem swoim,
Które miało przepłynąć wiecznie czystym zdrojem
Przez całe kiedyś długie niemowlęcia życie!
A potem, kiedy dobrze podrosło już dziecię,
Prowadzi je spokojna w królewskie przedsienie;
Prowadzi je spokojna o przyszłość i pewna,
Jak gdyby lwica-matka potężne lwie szczenię...

Za swego syna dziecię przyjęła królowna
I oddała kapłanom. I wzięli pacholę
I we swojej z czcią wielką posadzili szkole,

I we wszystkich mądrościach egipskich ćwiczyli,
I mowy je starannie Egipcyan uczyli,
I uczyli je pisma tajemniczych znaków,
I uczyli czcić bogów egipskich w świątnicy,
I uczyli obrządków swoich tajemnicy,
I uczyli je dziejów egipskiego kraju,
I wszelkiego tej ziemi porządku, zwyczaju;
I uczyli je bluźnić wielkiemu Jehowie,
Uczyli je złorzeczyć rodzicielskiej mowie,
Uczyli nienawidzić swych braci rodaków —
Uczyli i ćwiczyli.

A gdy się już zdało,
Że duszę wychowanka pozyskali całą,
Że z czoła jego cechę narodową starli
I że miłość ojczystą z piersi mu wydarli,
Że tą swoją nauką, by złotymi pręty
Młody lew został w klatce na zawsze zamknięty;
To on siłą olbrzyma pręt złocisty zgina
I wybiega i wstrząsa dumnie groźną grzywą
I w gorącym porywie podnosi dłoń mściwą
Ujmując się za bratem — w bój Egipcyanina
Wyzywa i zabija!

Mojżesz szalony!
Za cóż do niepotrzebnej zrywasz się obrony
Za twą bracią jęczącą pod jarzmem niewoli;
A cóż tobie do tego, czy to ciebie boli?
A cóż tobie do tego, że oni są biedni,
Gdy jeno ty jesz z złotej miski chleb powszedni!

A cóż tobie do tego, że to niewolnicy,
Kiedy ty jeno mieszkasz w królewskiej świetnicy!
Wszakże nic człowiekowi innego nie trzeba
Prócz ciepłego kącika i prócz kęsa chleba!
Wszak każdego człowieka winno być marzeniem:
Bogactwa, dostojenstwa i świetna karyera,
Praca nadszczęściem własnem, nad swem wyniesieniem,
Choćby nawet i z krzywdą własnej swojej braci,
Choćby nawet za cenę własnego spodlenia!
Wyzucie się z praw świętych i z wiary wyzucie,
To pieniądz, który w świecie najwięcej dziś płaci,
To sposób, którym się dziś wraz wrota otwiera
Do zaszczytów wysokich, wielkiego znaczenia!
A zaś «miłość, ojczyzna, sława, przyjaciele»,
Ofiarność, cnota, święte ojczyście pocucie,
To głupstwa, śnią dziś o nich tylko — marzyciele!
A działać dla swej braci, to śmieszne rzemiosło,
Które jeszcze nikomu zysku nie przyniosło!

A ty, głupi Mojżeszu, zawsze jesteś gotów
Uciec z komnat królewskich do braci namiotów,
Gdzie i nędza i rozpacz i uciemiężenie..
Ach! ciebie do nich właśnie to ich utrapienie
Nęci i wabią ciebie te rzewne piosenki,
Przy których cichną braci niewolnicze jęki,
Nęcą cię o Chanaan czarowne powieści,
One bowiem łagodzą niewoli boleści!
Mojżeszu! a na ciebie Farao się gniewa,
On się czegoś innego po tobie spodziewa.
Tyś jest wnukiem królewskim, bądź Egipthu synem,

I okaż to dowodem jasnym, okaż czynem!
Ja wynajdę ci sposób, jakbyś go ubawił:
Gdybyś tak pierś swej braci rozdarł i pokrwawił...
Za czyn taki królewskiej dostąpiłbyś łaski,
A kapłani Egiptu daliłby oklaski!

A ty, Mojżeszu głupi, tyś swą krwawą sprzeczką
Wzbudził gniew Faraona! Ratuń się ucieczką!

* * *

Na piaszczystej pustyni słońce żarem pali,
Po niej śpieszy zbieg młody, ale się nie żali,
Że szczęście ziemskie zmarnił, że z tego powodu
W żmudnej pracy i trudzie pójdzie życia droga:
Bo dwa niósł z sobą skarby największe na ziemi,
Które ukrył w swem sercu wśród pokus, jakimi
Był otoczony w Egipcie: Miłość dla narodu
I cześć dla jedyne go, prawdziwego Boga!

— • • • —

VI

WIERSE RÓŻNE

PIERWIOSNEK.



Jeszcze ziemia szarą była,
Jeszcze był śnieg w górach;
A wiosenna pieśń skowronka
Zabrzmiała już w chmurach.

I niekiedy wystrzeliło
Z za chmur ciepłe słońce,
A za słońcem w ślad zakwitły
Pierwiosnki na łące.

I wybiegło dziecię rankiem,
Zobaczyło kwiatki,
I zerwało kilka drobnych
Na bukiet dla matki.

Matka ze łąką bierze kwiaty,
Rzecz: «moje dziecię,
Z tylu wiosen, co już kwitły
Pierwsze niesiesz kwiecie.

Twoi bracia, chociaż mogli,
Kwiatów nie zbierali,
O, bo oni swojej matki
Tyle nie kochali.

Oni biegli zaślepieni
Za szczęściem po świecie —
Ty mi niesiesz nikłe, słabe,
Ale pierwsze kwiecie.

O, niech oni w ślad za tobą
Podobnie mi służą,
Bo na naszej śląskiej niwie
Kwitnie kwiatów dużo!



DO MŁODZIEŻY ŚLĄSKIEJ!

Na uroczystość Mickiewicza.

Utwory wieszczów — to są żywe wody,
Z których, gdy piją, nie giną narody,
Bo duch narodu, wyszedłszy z omycia
Świeży i młody — ma potęgę życia.

Wieczną jest także i wieszczą pamiątka:
Po całej ziemi, z każdego jej kąta,
Z pod każdej strzechy powieść się odzywa —
A młódź wesoła jego pieśni śpiewa.

Dziś wieszczą pamięć święci Polska cała —
Po całej Polsce jedna pieśń zabrzmiała:
Pieśń o Wilii i pieśń Pustelnicy;
A że do śląskiej zabrzmiała granicy.

I młodzież nasza z zadziwieniem słucha
Pieśni, co dziwnie przemawia do ducha;
A głos tłumiony dotąd bez oporu,
Śpiewem ojczystym uderza do wtóru;

Po całej ziemi pieśń ta cudna leci —
Nieznane czucia w piersi ludzkiej nieci
Ogień miłości, co dotąd w iskiecce
Tlał i płomieniem świętym pała serce —
A ziemia ojców, dotąd niepoznana,
Stoi przed okiem miła, ukochana.

O! młodzi śląska — niech wieszcz, co katusze
Za miliony cierpiał, w Twoję duszę
Wleje choć cząstkę swej wielkiej miłości —
Wtenczas twą ziemię, co żebrze litości
Duszą i sercem ty pokochasz całem,
I wtenczas ona będzie ideałem
Twoim najdroższym — a wcześniej, za młodu
Już się nauczysz dla sprawy narodu
Poświęcać życia i czyny i siły —
I być jej wiernym aż do mogiły!

Może o młodzi! między tobą rośnie
Druh, który kiedyś, jak kwiatek we wiośnie
Zakwitnie — blaskiem takim zajaśnieje,
Że się zadziwią błonia, łąki, knieje...
Albo jak ptaszę, co siedzi na drzewie,
I w swoim wdzięcznym wypowiada śpiewie
To, co go cieszy i to, co go boli, —
Zanuci pieśni podług swojej woli,
I powie czego trzeba naszej braci,
Co ją rzetelnem szczęściem ubogaci.
I on rozsieję mocą tej piosenki
Ziemi ojczystej powaby i wdzięki,

By drogocenne perły i klejnoty;
A tak zachwyci wszystkich blask ich złoty,
Że zawołają: Oto ziemia nasza!
To Piastów łany! to sadyba lasza,
Tak cudnie piękna!

I on tą «szczęśliwą
Pieśnią największe zrobi wśród nas dziwo»,
Albowiem pieśń ta z uśpiania obudzi
Braci — tych dotąd obojętnych ludzi,
Że teraz myśleć już będą świadomie
Tylko o swojej ziemi i swym domie,
I nie pozwolą na przyszłość nikomu,
W naszym, jak w swoim gospodarzyć domu.

ROLNIK ŚLĄSKI.

I.

Słoneczko wyszło. Po modrem niebie
Czerwone chmurki dążą do siebie —
A między niemi skowronek mały
Śpiewa radośnie dla Bożej chwały.

Na szarą ziemię hojne niebios
Kwiaty zsyłają — a na nich rosa
Zda się być łezką owej radości,
Co z słońca schodzi do ziemskich gości.

Rolnik wyjeżdża z końmi rączymi —
Lecz wprzód się modli nim pługiem ziemi
Dotknie, a Bóg mu za odwrócone
Skiby podkłada modły zmówione.

A one bujne kłosa wywiodą,
Słoneczko zeszlą, deszcze przywiodą,
Odwrócą burzę, i grad odwrócą,
I bujnym kłosem niwy wyzłocą.

II.

Szczęśliwy ranek gdy słońce świeci; —
On swoim szczęściem w piersiach nam nieci
Uczucie mocy, które w nadmiarze
Nieszczęść i bólu ufać nam każe

W przyszłość spokojną. — A rolnik orze
I rzekł: «Skowronku, ty ptaszę Boże
Byłeś wysoko, co niesiesz z nieba
Czy powszedniego nadzieję chleba?»

Skowronek na to: «Kiedy o świcie
Byłem dziękować Bogu za życie,
Spotkałem w drodze twą pieśń, two modły:
Wiara z nadzieją Bogu je wiodły;

I przyjął Pan Bóg ten dar, co czysty
Wyłynął z dźwięków mowy ojczystej;
I błogosławił śpiewom i piewcy,
Zorany niwom, siejbie i siewcy.

III.

Słoneczko zaszło i dzień powraca
Na łono słońca: skończona praca.
Wieczorny pokój skowronek z góry
Dla spracowanej głosi natury.

I weszły gwiazdy i księżyc z niemi,
I takich wdzięków nadały ziemi,
Ze w zachwyceniu na pług siada
I w zadumanie rzewne zapada.

O tem, o owem tak duma sobie:
O swojej wiosce, o ojcach w grobie,
O przeminionej lat młodych doli,
O tem co cieszy, o tem, co boli...

Wtem się dzwon ozwał. Gdy pełen dzięki
Rolnik uklęka, to w dzwonu dźwięku
Słyszy: «Kto kocha, wszystko, co swoje,
Na tego zleje Bóg łask swych zdroje».



Ks. Dr. L. OTTONOWI PRZY POZEGNANIU.

—co—

Kiedy chwila rozstania odwiecznym wyrokiem
Pośród zmiennego czasu smutnem skrzydłem zleci;
To przedmiot pożegnalny owieje urokiem,
I barwami cudnemi olśni i oświeci,
I blaskami pochwały cały opromieni,
Że przed światłem w nim żadnych nie dostrzeżesz cieni.

Tu tego nie potrzeba. W swego światła tęczy
Błyszczący się twoje imię na tle własnem czynu,
A ręka żmudnej pracy twoje skronie wieńczy
Sama z siebie zieloną gałązką wawrzynu.
Więc gdy stoisz gotowy w drogę tak przed nami,
Milczą usta, a oczy napełnione łzami.

To, coś zdziałał, czemuś nam był? nasze usta drżące
Nie wyrażą — ni ta łza, co płynie z powieki;
Bo do tej odpowiedzi mają ust tysiące
Prawo — którą posuną aż w czas daleki;
Bo duch Prawdy i Prawda nigdy nie ustaną —
A tyś ze słowem Bożem zasiał i twe miano!

A dziś — gdy kij pielgrzymia bierzesz znów w twe
I chętni i niechętni na wyścigi biega, [ręce
Żeby na twojej drodze słać uznania wieńce:
Stąpaj śmiało — dziś ciernia oczy nie dostrzegą!
Idź z Bogiem! — Na pociechę tyle pozostanie,
Że rąk naszych, serc naszych nic rozdzielić w stanie!

Chociażeś się usunął w zbyt krytycznej chwili
Od pracy — choć bolesno, zarzut cię nie spotka;
Bo może przeznaczenie iść dalej cię sili,
Bo praca wielkiej treści, choć rozmiarem krótka..
A gdy błogosławieństwem się kiedyś rozplemi,
Uczczą wdzięcznie siewacza dzieci śląskiej ziemi!

.....

PRZYCHODZĘ DO WAS.

(Wiersz wstępny w «Przyjacielu Ludu»).

Przychodzę do was w skromnej, prostej szacie,
Lecz z sercem pełnem gorącej miłości;
Czyż mię serdecznie wszyscy powitacie,
Czyliż mię każdy z was przyjmie, ugości?

Może niejeden, kiedy mię zobaczy,
Drzwi swego domu przedemną zatrzaśnie,
Bowiem mię sobie wystawiał inaczej,
Gdyż o czemś wielkiem, pięknem marzył właśnie!

Inny znów powie — to są rzeczy nudne,
Tak, że niewarte są nawet czytania;
A drugi znowu — dziś są czasy trudne,
I brak możliwości — prenumerowania!

A inny jeszcze — kiedyś «przyjacielem»,
Więc nam odpowiedz otwarcie i szczerze,
Jakie twe hasło, co programu celem —
Ja w coś bez tego — to całkiem nie wierzę!

Na to odpowiem otwarcie: mem hasłem
Umieć Chrystusa ukrzyżowanego,¹⁾
A mym programem: w zastygłem, w zagasłem
Sercu rozbudzić silną wiarę w Niego.

Lecz nie na ludzkiej mądrości gruntować
Ma się ta wiara, lecz tylko jedynie
Na mocy Bożej, bo kto tak budować
Będzie, wieczyste otrzyma zbawienie!

W takiej to wierze i nasi przodkowie
Śród prześladowań przy czystej wytrwali
Ewangeli — podczas gdy Panowie
I miasta od niej zwolna odpadali.

I jak gdy ludzie w wojny krwawych czasach
Z doliny do gór z trwogą uciekają,
Gdzie kopią doły w niedostępnych lasach,
W które najdroższe swe skarby chowają,

Tak też i oni uchodząc przed srogiem
Prześladowaniem, rzuciwszy w dolinach
Wszystko, co mieli — a tylko przed wrogiem
Najdroższy skarb swój skryli w gór jaskiniach!

Skarb chrześcijanom najdroższy na ziemi,
Skarb, co nie ginie ani nie przemija,

¹⁾ Korynt. 2—5.

Przez który będą wiecznie szczęśliwymi,
Skarbem tym świętym — to Ewangelia!

My tego skarbu są dziś dziedzicami;
A kto chce wiedzieć, kędy skarb ten leży,
Niech idzie naszych praojców śladami,
A znajdzie, jeśli w Chrystusa uwierzy!

A kiedy znajdziesz, nie kryj się na góry,
Świat ci nie będzie więcej poniewiercą...
Już cię nie wezmą dzisiaj na tortury:
Dzisiaj za wiarę już cię nie uśmiercą.

Jawnie na sercu złóż — skarb ten i cały
Żywot niech świadczy, żeś z niego skorzystał;
Pokaż to jawnie w wierze silnej, trwałej,
Żeś Chrystusowy, żeś do Niego przysłał.

A gdyby przyszły na cię słabe chwile,
Żebyś upadał, uległszy pokusie
Grzechu, wnet przyjdę wzmocnić cię na sile,
Przyjdę, pomogę, pocieszę w Chrystusie.

Kiedyś w nieszczęściu — gdy na życiu twojem
Krzyż wielki cięży — o! zaraz pośpieszę
Ku tobie bracie z Chrystusa pokojem
I ciebie jego pokojem pocieszę!

Lub, gdy ktokolwiek zapalony złością,
Przeciwno bratu swojemu wystąpi,

Wtenczas przybędę z Chrystusa miłością,
A złość i niechęć i kłótnia ustąpi!

I tego skarbu chcę wam być strażnikiem,
To bowiem wieście, że tylko jedynie
Tak długo każdy z was ewangelikiem,
Jak długo skarb ten dla was nie zaginie!

A oprócz tego stać będę na straży,
By nikt nie zmarnił swojej ojcowizny,
Niech syn po ojcu dzielnie gospodarzy,
Żeby mu obcy nie wydarł puścizny!

Wypiełgnować chcę wśród waszej młodzi
Piękna uczucie, obyczaje czyste,
Z tego się miłość zawczasu urodzi
K'temu, co nasze, k'temu, co ojczyste!

I chować będziem stare obyczaje...
Bajać powieści, śpiewać pieśni stare,
Duchem w przeszłości uniesiem się kraje:
Stąd dla przyszłego życia zyskać miarę.

Pobożne z duszy zaśpiewamy pieśni,
Z Lutrem, Dambrowskim uczynim przymierze,
Stara biblia na półce nie spleśni,
I wzmocni serca w Chrystusowej wierze.

A tak z tej zbożnej, serdecznej młodzieży
Wzrośnie lud dzielny, wyrośnie lud Boży —

Swym duchem ducha swych ojców odświeży
Swym duchem Boże Królestwo pomnoży!

Trudna to praca, ale praca święta, —
A do tej pracy, siły me za małe;
Lecz w imię Boże przez wszystkich poczęta
Niech się prowadzi Onemu na chwałę!

Przychodzę do was w skromnej, prostej szacie,
Lecz z sercem pełnem gorącej miłości;
Czy «Przyjaciela ludu» powitacie,
I czy go każdy przyjmie i ugości?!

DO NASZYCH PRZYJACIÓŁ.

(Wiersz noworoczny, ogłoszony w czasopiśmie «Przyjaciel Ludu»).

Więc znów zeszedł rok jeden do morza przeszłości,
A z nim i szczęścia trochę, któreśmy posiedli,
Lecz także zeszedł bezwzględny, taki bez litości,
A z nim i walka twarda, cośmy z losem wiedli;
A oto znów Rok Nowy zawitał w tej chwili:
My niezmienni zostajem, jak my dotąd byli!

Nowy Rok! och, on dla nas nadejdzie z obfitem
Błogosławieństwem Bożem, tak mocno ufamy,
Lecz to wszystko jest jeszcze przed nami ukrytem,
Co tam w rzeczywistości od niego wziąć mamy,
I cokolwiek z przyszłości się ku nam wychyli:
My niezmienni zostajem, jak my dotąd byli!

Nowy Rok — wystrzał korków słyhać i brzęk szkła-
A w tej chwili wesołej, w chwili upojenia, [nek,
Śród okrzyków, śród śmiechu i śród pogadanek
Słyhać tylko wesołe wzajemne życzenia;

I nam też noworoczne życzenia złożyli:
My niezmienni zostajem, jak my dotąd byli!

Nowy Rok! ja samotnie rozmyślam i marzę,
A pierwsza jego chwila przeszła niespodzianie,
I rozglądam się wkoło — mych znajomych twarze
Patrzą na mnie z obrazów wiszących na ścianie;
O! rozumiem ja dobrze wzrok wasz moi mili:
My niezmienni zostajem, jak my dotąd byli!

Jakto? czy zostaniemy zawsze niezmiennymi?
Wszakże nami i chwila i czas zmienny władnie!
A wszak to nasze ciało jest z prochu i ziemi;
Ono się w proch i ziemię nanowo rozpadnie; —
Ale duch nasz, ten nie zna ni czasu, ni chwili:
My niezmienni zostajem, jak my dotąd byli!

I będziemy służyli szczerze dobrej sprawie,
Będziemy jej służyli tak, jako potrzeba,
A czy pójdziem u świata w sławie lub niesławie,
A czy nam ludzie dadzą lub nie dadzą chleba,
My tam na takie rzeczy nie będziemy ważyli,
Lecz niezmienni zostajem, jak my dotąd byli!

I za jasnym przewodem miłości anioła
Bogu i bliżnim naszym służyć będziemy wiernie,
Będziem bronić swej ziemi, praw swego Kościoła,
Niedbając wcale o to, czy róże, czy ciernie,
Na trudnej naszej drodze ludzie położyli:
My niezmienni zostajem, jak my dotąd byli!

Niechajże więc Rok Nowy, tak jak w tej godzinie
Szczęśliwie się rozpoczął, zejdzie w pomyślności,
Niechaj błogosławieństwo Boże na tych spłynie,
Którzy Bogu oddali rzecz swoją w ufności,
Którzy wszystkie starania na Niego wrzucili
I niezmienni zostają, tak jak dotąd byli!



JUBILEUSZOWE POZDROWIENIE.

Na obchód dwudziestopięcioletniego jubileuszu Towarzystwa rolniczego
śląskiego, połączonego z wystawą rolniczą.

W czasach «pańszczyzny», kiedy chłop na pany
Pracować musiał jak gdyby w niewoli,
Porzucał często ojczyste swe łąny,
Odbiegał często ojcowskiej swej roli.

Wolał uciekać, niżli «pańskie» zbywać;
To też niejeden grunt stał często pusty,
A ten, kto miał chęć rzecz tanio nabywać,
Dostał grunt nieraz «za garniec kapusty».

Lecz kiedy czasy nastały wolności,
I uciążliwą zrzuciły pańszczyznę,
I gdy chłop panem stał się swojej włości,
Dostał ojcowską na własność puściznę:

Wtedy dopiero dla niego się stała
Drogą ta ziemia, choć jej licha gleba
Zaledwie jemu trochę wydawała
Lnu na odzienie i na pokarm chleba.

Więcej nie pragnął. Czyliż nie miał dosyć,
Gdy w praw człowieczych wchodził używanie?
Gdy już poddaństwa nie miał więcej nosić,
Lecz być swobodnym, wolnym w nowym stanie?

Więcej nie pragnął, orał, siał i włóczył
I czekał cicho, azali też plony
Da zasiew, który zagonom poruczył.
Tak — innych rzeczy nie był on spragniony.

Nie był spragniony? — A wszak swoje wodze
Ma każdy naród, co swoim wybiegli
Duchem nad braci, co po prawej drodze
Wiedli swój naród i praw jego strzegli.

Tacy też wodze lud śląski rolniczy
Ujęli w jedno towarzystwa grono;
Wiedli do pracy, wiedli do zdobyczy
Skarbów, co kryło gleby ciemne łono.

Wiedli po drodze żmudnej i mozolnej,
Wiedli wśród potu, wysień i znoju,
Wiedli do walki na arenie rolnej,
I ostrzem pługą uczyli podboju.

Toż role mają zboża pełno, sady
Pełno owocu, a stajnie dobytku;
W ule miód znoszą robocze owady,
Domy się świecą tu a tam od zbytku!

Więc cześć niech będzie tej śląskiej ziemicy,
Cześć jej kwitnącym sdom, rolom, niwom,
Cześć wam niech będzie, cześć bracia rolnicy,
Cześć waszym siewom i cześć waszym żniwom!

Cześć wam wodzowie, którzyście pod znaki
Wasze maluczkich, słabych przygarnęli,
Coście lud wwiedli na prawdziwe szlaki,
Coście o prawa jego się ujeli.

Cześć Tobie mężu, co stoisz na czele¹⁾
Sprawy, na którą ćwierć wieku trza było;
Ty w tem wspinałem i w tem pięknem dziele
Oglądasz słusznie Swoje własne dzieło!

To co w obrazie niby wystawili
Bracia rolnicy, to i Twym obrazem;
Nietylko samych siebie tem uczcili,
Ale uczcili i Ciebie zarazem.

A dzisiaj nastał dla nas dzień wesela,
Bo ćwierćwiekowej bierzem owoc pracy,
Dziś się robotnik nagrodą obdziela,
Dzisiaj nastąpił dla niego dzień płacy!

Nie ten, co chleb je jednak — żywy będzie,
Ale ten, który i słów Bożych słucha;
A naród prawo do życia zdobędzie
Pracą swej dłoni zgodnie z pracą Ducha!

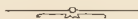
¹⁾ Jerzy Cieñciała, poseł na sejm śląski.

A słowo, które z ust Bożych pochodzi,
To bojaźń Pańska — ciągła ustawiczna,
To miłość dla tej ziemi, co nas rodzi,
To miłość święta, wielka, bezgraniczna!

To ojców mowa, to pieśń w swojskiej nucie,
To ojców strzecha, to braci gromada,
To narodowe w swej piersi poczucie,
Które twem wyższem przeznaczeniem włada.

A więc się weźmy do pracy duchowej
W następujących lat nowym okresie,
Niech lud nasz rośnie w siłę narodowej,
Niech się w poczuciu swej godności wzniesie.

Zstrzęśmy się wreszcie z duchowej «pańszczyzny»,
A wolność ducha niech pośród nas wzrasta:
Do prowadzenia naszej ojcowizny
Obcych nie trzeba — kiedy mamy Piasta!



W ALBUM KS. FR. MICHEJDY W NAWSIU.

«Wpadam do Soplicowa, jak w centrum polszczyzny»
«Pan Tadeusz», księga VII.

Gdy o mej ziemi myślę położeniu,
I kiedy widzę, że coraz to gorzej,
Wtedy jej przyszłość smuci mię i trwoży
I myśli rwą się w bólu i zwątpieniu.

O, smutno u nas! Jedni się wyzuli
Ze spraw ojczystych i k'wrogom przystali,
A drudzy, co się niby przyznawają
Do swego rodu, — ci wyżej stawiają
Interes własny niż rodzinne sprawy:
Dla nich, są oni zupełnie nieczuli
I obojętni całkiem i niedbali!
Oni się tylko własnem szczęściem pieścą
I w samolubstwie słodkiem się kołyszają;
Sobą zajęci, nie widzą, nie słyszą
Że tu nas niemczą, a tam znowu czeszczą!

W sobie spokojni nie mają obawy
O los swej ziemi!

Takich zaś jest wielu,
Którzy nie wiedzą nawet o co chodzi,
Ni się pytają o to, kto ich rodzi,
Ani się troszczą o to, jak kto mówi,
Jakiego częstkę narodu stanowi:
Żyją spokojni, bezwiedni, bez celu...

A zaś tych czułych, tkliwych, idealnych,
Tych kochających, tych łatwo zapalnych
Do wszelkich ofiar, poświęceń i czynów,
Tych prawych, wiernych ziemi swojej synów,
Co ją nad własne ukochali życie —
Tych garstka tylko!

A jednak a przecie
Dla szlachetnego serca niema w świecie
Ani lepszego, ani też droższego
Nad ziemię Ojców — ono miejsca tego
Nawet po śmierci obcemu nie życzy!

Jabym tę ziemię mych łez, mej radości,
Tę ziemię cierpień, tę ziemię słodyczy,
Tę ziemię mojej młodości miłości
Miał stracić wiecznie! Miał stracić dla mowy
Ojczystej, stracić dla pieśni rodzinnych,

Stracić dla całej naszej narodowej
Przeszłości chlubnej!

O! jakże okropnie
Myśleć, że może czas ten bardzo blisko,
Że wróg najedzie to nasze siedlisko
I wpływem swoim wkrótce tego dopnie,
Że mowę naszą wtłoczy do form innych,
I zmusi nasze ojczyste piosenki
Wziąć na się obce, niezwykajne dźwięki
I w swoim domu, w swej własnej krainie
Zaginie mowa i pieśń nasza zginie!

I w serce moje znękanie się garnie
 Dzikim nawałem rozpacz i zwątpienie,
 Co sprawia taką boleść i męczarnię,
 Że siła ginie i woła popada
 W niemoc, bezsilność i zubożenie.
 Zwątpiałych myśli rozum nie przegada,
 Tu trza pociechy bratniej i pomocy,
 Aby ratować i dźwignąć z niemocy
 Znękaną duszę i unieść z pogromu.

A więc pośpieszam do twojego domu,
Gdzie twą otwartą, szczerą gościnnością
Gdzie niekłamana twoją pobożnością
I twoją prawą, żarliwą polskością
Oddycham, rosnę w siłę i nadzieję
I w chęć do dalszej i wytrwałej pracy.

Dzielny mój druhu! w tem my są jednacy,
Że pierwszym życia naszego marzeniem
I pierwszą myślą jest to, aby mowę
Polską naszemu ludowi zachować,
Aby ochraniać jego przeszłe dzieje,
I aby jego skarby narodowe,
Tę ojców świętą puściznę, ratować
Od zaginienia.

O! ja się spodziewam
Tego po tobie, że swem poświęceniem
I swą dzielnością pracy ustawicznej
Pomożesz wreszcie zdobyć i zgotować
Dla nas swobodę i byt polityczny!

Albowiem wielka jest Pisma potęga!
A pismo prawe jest narodu tętnem,
Ono weni wlewa siłę wiecznie młodą,
Spaja i łączy to, co się rozprzęga,
Zapala, grzeje, co jest obojętnem,
Szuka, podnosi to, co się zatracza,
Woła, przestrzega i chroni przed szkodą;
Pismo jest myślą, wyrazem i tchnieniem,
Czem społeczeństwo i rośnie i stoi
W ducha potędze, niby w jasnej zbroi,
W której znów do praw utraconych wraca.

A więc na Pisma twojego wołanie
Ocknie się, zbudzi Lud Śląski z letargu —

I siłą dzielną rozbudzonej woli
Z wpływów się zgubnych niemczyzny wyzwoli,
Wyjdzie zwycięsko z bratniego zatargu,
I nie da więcej nad sobą nikomu
Przewodzić, — będzie u siebie, w swym domu
Panem na wieki!

A ja się spodziewam,
«Iżę przykażesz twym synom po sobie,
By sprawiedliwie chodzili przed Bogiem,
Żeby czynili sąd nad ludu wrogiem...
I by czynili sąd samemu sobie!»¹⁾
Ja się spodziewam, że z twojego domu
Wylecą kiedyś — nie jako puszczuki,
Co nad nieszczęściem wznoszą wstrętne krzyki,
Ale wylecą jak — dzielne sokoły!
Zaszumią skrzydłem nad krainą naszą,
Zaszumią lotem potężnym nad sioły
Ślicznemi naszej kochanej ziemiцы,
I wszystko ptactwo obrzydłe wystraszą,
Co się do naszej wnąciło pszenicy!

.

Dom twój się szczyli z szczerzej gościnności,
I ty rad witasz w progach swoich gości.
Zaprawdę: cechą, znamięm zacności
Jakiego domu jest to, kto w nim gości!

¹⁾ I. Mojż. 18, 19.

Lecz z drugiej strony znów jest gość wyrazem
Myśli, przekonań, jest uczuć obrazem
Domu, gdzie bawi. Więc się gość weseli,
Kiedy domowi szczęśliwie się wiedzie,
Lecz także smutek i troski z nim dzieli,
Kiedy w nieszczęściu zostaje i w biedzie!

Gościu! czy mieszkasz daleko, czy blisko,
Czyś ten lub owy, co tu twoje imię
Wpiszesz w tę księgę i swoje nazwisko,
Masz wiedzieć: w domu tym niema wesela,
Dopóki kraj nasz ojczysty w ucisku,
Dopóki ręka zła nieprzyjaciela
Dla samolubnej korzyści i zysku
Chytrym podstępem zgnieść chce polskie plemię!

I to najbardziej domu temu cięży!
Więc wy, coście tu swe imię wpisali,
Wyście się niby przysięgą związali,
Że podniesiecie wspólnie wasze dłonie
Ku zagrożonych praw naszych obronie.

O! tak, potrzeba wspólnego działania,
Inaczej sprawa nasza nie zwycięży;
A chcieć, by jeden stanął do ofiary,
I by za wszystkich walczył i pracował,
I by za wszystkich trudy podejmował:
To są po prostu głupie wymagania!
To obojętność, oziębłość, brak wiary

Tych, którym dzisiaj już jest wszystko jedno
Czy być lub nie być!

A więc bracia moi,
Wstańmy i naprzód! lecz razem, lecz społem,
Nieustraszonem, śmiałem, jasnem czołem,
Tak jako wolnym, tak jak tym przystoi,
Którym poczucie zacności tli w piersi —
Naprzód i razem, jako ludu pierwsi,
Jak przodownicy jego i wybrani;
I ziemię Śląską znękaną i biedną,
Śpiącą snem zgubnym na brzegu otchłani
Zbudźmy do życia na złość naszym wrogom,
Którzy z nas jawnie drwią sobie i szydzą,
Żeśmy są słabi, gnuśni, nieudolni,
I bez zapалу — a więc żyć nie zdolni,
Więc na rodową zagładę skazani.
I stańmy wpoprzek zaborczym ich drogom
Świętą dla kraju naszego miłością,
Szczerej, ofiarnej pracy wytrwałością
I poświęceniem!

A nasi rodacy
W Polsce szerokiej niech wiedzą i widzą,
Że pierworodztwa swego nie sprzedamy
Za pełną misę cudzej soczewicy,
I że owoców narodowej pracy
Zajadłym wrogom nigdy nie oddamy.
Ale że na tej prastarej ziemy

Piastów stać będziem, jak wierni strażnicy
Polski — ku Polski wieczystej obronie!...

Niechaj te słowa wicher Boży niesie
Te słowa proste, i niech je posieje
W serca mej braci jakby ziarnka małe,
A tam niech każde kiełkuje i rośnie.
A kiedyś — w naszej odrodzenia wiosnie
Gdy wreszcie słońce swobód zajaśnieje —
W tym nowym życia naszego okresie
Zaszumią kłosem złotym na zagonie
Swojskim nam na cześć, na sławę, na chwałę!



WODA ZE SKAŁY.

(Wiersz na otwarcie gimnazjum polskiego w Cieszynie).



Ciągnął lud Izraelski po puszczy dalekiej
Trudną, piaszczystą drogą wśród skwaru i spieki;
A gdziekolwiek ta droga męcząca go wiodła,
Nie było nigdzie cienia, ni wody, ni źródła.
Upadali z pragnienia i spiekłemi wargi
Przeciwko Mojżeszowi podnosili skargi:
«Choć w Egipcie pracować ciężko było trzeba,
Mieliśmy zawsze dosyć i wody i chleba,
I syci — zbyliśmy się pracy umęczenia;
A tu nam wszystkim przyjdzie poginać z pragnienia.
Lepiej umrzeć w niewoli, niż tu cierpieć dłużej,
Kto ciało zaspokoi, to mniejsza, że służy».
Więc Prorok pełen żalu i pełen kłopotu
Gwoli szemrania ludu, wstąpił do namiotu
Zgromadzenia i upadł na twarz przed Jehową,
Modląc się: «Panie, Boże! oto lud na nowo
Wzgardił Tobą i Twoje chce pohańbić wodze:
Toż nad nim zmiłowania żebrać tu przychodzę
I Twego miłosierdzia i Twojej litości!

On nie winien, że ugrzązł cały w cielesności,
Dla której nie rozumie daru swej wolności,
Nie winien, że nie pojął obietnicy danej,
Mocą której do ziemi wróci obiecanej;
On nie winien, że ręce, która mu otwiera
Podwoje szczęśliwości, gwałtem się opiera,
Nie winien, że się lęka i ofiar i trudów,
I tylko się ogląda na moc Twoich cudów.

Panie! Ty go nie skarzesz tej niemocy gwoli,
Jaka wynikła z długiej i ciężkiej niewoli!

Panie! on i tak biedny, skarany dla tego,
Że prócz chleba, nic w życiu nie widzi innego;
Że na okół błędniemi spogląda oczyma
Azali też gdzie wody k'pokrzepieniu nie ma.
Panie, ja o cud proszę, żądam Twego cudu
Choćby już nie dla tego nieszczęsnego ludu,
Ale dla jego dziatwy, dla tych pacholątek
Małych i dla niewinnych jego niemowlątek!
Zlituj się nad nim Panie! Wszak starzy na puszczy
Zgina, jak zioła, z których ziarno się wyłuszczy,
Ale to ziarno — dziatwa, gdy padnie na rolę,
Zejdzie Tobie na chwałę, a sobie na dołę
Szczęsną, w cudownych blaskach i czarownej woni,
Na chwałę i pożytek Chananejskiej błoni.

Panie, niech się więc Twoje otworzą niebiosy,
A te zwiędłe kwiateczki orzeźwi twa rosa;
Niech się znowu otworzą źródła żywej wody
Wszystkim dla pokrzepienia, siły i ochłody!»

Tak modlił się i skarżył. A Pan w swojej chwale
Stanął nad nim.

W
Potem Mojżesz postąpił ku skale (r
I uderzył w nią laską za Bożym rozkazem.
Jęknęła sucha skała pod cudownym razem,
Zaszumiało i wody żywe się polały;
A rzesze się rzuciły, co na cud czekały,
Szalone wielkiem szczęściem, na źródło i piły,
I zemdlone, zniszczone powróciły siły.

A prorok stał i patrzył wzrokiem, co się żali
Na rzesze, jak na morze wzburzone, na fali
Którego mętnej jasne perełki błyszczały:
Jego oczy tych jasnych perełek szukały,
Szukały dziatwy tylko, co z wykrzykiwaniem
Wesołem i radością wielką i śpiewaniem
Biegła do źródła, piła żywą wodę,
A z nią życie i siłę, wielkość i swobodę!

Tedy modły do Boga zasyła dziękczynne:
«Panie, przez te maluczkie i przez te niewinne
Twemu ludowi wybawienieś sprawił!»
A potem podniósł ręce swe i błogosławił
Źródłu i dziatwie, całej niewinnej radości,
W nadziei lepszej doli, szczęśliwszej przyszłości!



TOAST.

(Na uczcie z powodu otwarcia gimnazjum polskiego).



Vivat, bracia! initium!
Powstać, szklanki wznieść
Na otwarcie gimnazjum,
Na chwałę i cześć!

Wielka, wielka brzmi muzyka
W głębi naszych dusz,
Która cały Śląsk przenika,
Cały Śląsk wszecz, wzdłuż.

Pieśń potężna na wsze strony
Głosi nowy cud,
Że już wreszcie przebudzony
Śląsko-polski lud.

Że mu nowe słońce błysło,
Co rozprószy cień,
Że nad Olzą, że nad Wisłą
Nowy wstaje dzień.

Wstaje nowy, jasny, złoty,
A więc w dłoni dłoń
Spieszmy wszyscy do roboty
Na ojczystą błoń.

A przy pracy, śląska dziatwo,
Ojczystą pieśń nuć,
Bo pracować wszystkim łatwo,
Kiedy śpiewa młódź.

Młodzi, śląskie nuć piosenki!
A okażesz tem
Najskuteczniej swoje dzięki
Dobrodziejom swym

Ucz polskiego się zadania
Z jasnych, polskich kart,
A tak każdy z was kochania
Będzie wtedy wart.

Kochaj śląską twoją ziemię,
Kochaj śląski lud,
Kochaj Polskę, polskie plemię,
Jako własny ród.

Nie brataj się z cudzoziemcem,
Po swojsku się rządź:
Niechaj Niemiec będzie Niemcem,
Ty Polakiem bądź!

Gdy wyrośniesz, wtedy czynem
Świadczyć, że pragniesz być
Wiernym twojej ziemi synem
I chcesz dla niej żyć!

O, to potem na tej ziemi
Pośród siół i miast,
Jako swój pomiędzy swymi
Zapanuje Piast!

Vivat, bracia! initium!
Powstać, okrzyk wznieść
Na otwarcie gimnazyum,
Na chwałę i cześć!

ZBOROWI NAWIEJSKIEMU.

(Na setną rocznicę).

Słyszycie dzwony, co z wieży kościoła
Ślą głos radości do dolin i gór:
Oto na setną rocznicę nas woła
Bracia i siostry! dziś Nawiejski zbór!

Patrzcie! dom Boży jak świeży i biały,
Strojny w girlandy i wieńce i kwiat;
Z wieży sztandary na wiatr się rozwiały,
Jakby z weselem chciały lecieć w świat.

Jak gdyby chciały uroczystość chwili
Objawić wszystkim okolicznym wsioom;
Toż zewsząd goście i swoi przybyli,
Z pokorą Boży napełniają dom.

Radosne pieśni i pochwalne pienia
Natchnioną piersią nuci dźwięczny chór;
I słowo Boże, modły, dziękczynienia
Do Boga Ojca wznosi cały zbór:

O Boże ojców! dziś setny rok minął,
Sto lat dzisiaj narachował dzień
Jak na to miejsce Duch Twój łaski spłynął,
Jak Twojej łaski spoczął nad nim cień.

Panie, Tyś sługi Twego wzruszył ducha,
Do służgi Twego na tronie Tyś rzekł:
Rozpuść mi lud mój, co słów moich słucha,
Co chodził prawdą i dróg Pańskich strzegł;

Niech na tem miejscu on mi dom zbuduje,
I wiecznej prawdy zatli światło w nim;
A on w nim bytność i moc mą poczuje:
Znajdzie mię w szczęściu, znajdzie w razie złym.

A toż ojcowie za Twem rozkazaniem
Wzniesli ten Syon święty ku Twojej czci;
Poświęcili go z płaczem i ze łkaniem,
Lecz to radości były wielkiej łązy.

I w tym przybytku zawarli przymierze
Na wszystkich z Tobą Panie Boże wiek;
Oni przy Tobie stali w świętej wierze,
A Tyś ich Panie zachował i strzegł.

Tyś ich strzegł wiernie, gdy za przykazaniem
Po drodze prawej pobożności szli;
Aleś ich także nawiedzał karaniem,
Kiedy oporni, kiedy byli źli.

A jakoś ojcom naszym Boże czynił,
Tak czynisz synom, tak czynisz i nam;
O, Tyś się nigdy w Twej łasce nie zmienił,
Tyś zawsze jeden, Tyś zawsze ten sam!

A toż o Panie! w dniu setnej rocznicy
Dziękczynne modły przed tron Twój Ci ślem
Za dobrodziejstwa Twej świętej prawicy,
Coś nam obficie zgotował w dniu tym.

Za ten dzień Panie, dziękujemy wielki
I za Twej świętej Ewangelii dar,
Za ten ojcowski dobry datek wszelki,
Za nawiedzanie skuteczne Twych kar.

A teraz Panie! w tem stuleciu nowem
Prosim Cię znowu, bądźże z nami, bądźź!
Ach! zostań przy nas z Twojem świętem słowem
I zbór nasz duchem Chrystusowym rządz!

Umilkły modły i ucichły pienia,
Ale głos dziwny uderzył mój słuch;
Pośród cichego, świętego milczenia
Praojców naszych odezwał się duch:

«My prześladowań ręką uciśnieni
Wzniesli z radością tej świątyni mur,
Za wolą Bożą z cegieł i kamieni
I założyli Chrystusowy zbór».

«I wzięło koniec to nasze cierpienie
I stał się koniec naszym gorzkim łzom...
Lecz wy synowie, jak żywe kamienie¹⁾
W święty duchowny budujcie się dom».

«Wszyscy w kapłaństwo święte się budujcie!
I świećcie cnotą, by światła tych gór
W prawdziwej wierze Chrystusowej stójcie;
A w wieczne czasy stać będzie wasz zbór!»

¹⁾ I. Piotr 2, 5.



NA JUBILEUSZ KS. FR. MICHEJDY Z NAWSIA.

Był czas, że znikła u nas wszelka piękna cnota:
Wiara w Boga i miłość do ojczystej ziemi,
I było tylko celem naszego żywota
Stąpać sobie drogami najwygodniejszemi.
Szliśmy tedy spokojnie, mądrze, gospodarnie
Z myślą, co nie szła wyżej nad nasze spiżarnie.

Ale za to też w duszy, ale za to w sercu
Taka cisza zaległa straszliwa i głucha,
Jak kiedy po cudownym pól i łąk kobiercu
Przejdzie jako zniszczenie okropna posucha;
Nigdzie barwy i światła, powabu, piękności,
Ale obraz zagłady, martwoty, nicości.

Smutny stan. Ale Bóg nas z tej nędzy wybawił,
Bo przyszedł z bratniej ziemi sługa Chrystusowy,
Co w naszych sercach ołtarz Jehowie wystawił,
Co wzywał do pokuty ognistemi słowy,
Co uczył swoją ziemię ojczystą miłować,
Szanować język ojców, zwyczaje ich chować.

Uderzeni, przejęci takim słowem wieszczem,
Budzimy się, by ze snu, z tego odrętwienia,
A jako sucha ziemia odwilżona deszczem
Naraz się przed oczami w barwny obraz zmienia,
Tak w najpiękniejszym uczuć i myśli rozkwicie
W zamilkłych sercach nowe zajaśniało życie.

A odtąd ono życie odnowione biegło
W zapale i natchnieniu, uczuciu, piękności,
Ono na każdym kroku od zaguby strzegło
I wiary ojców naszych i ojczystych włości.
I w poczuciu godności swej i uzacnienia
Drogą narodowego szliśmy odrodzenia.

A kiedy on mąż Boży od nas się odwrócił,
A my w chwili rozstania stali koło niego,
To on z błogosławieństwem swój płaszcz na cię rzucił,
A zarazem na tobie spoczął i duch jego.
Toż w mocy tego ducha prowadź dzieło dalej,
Aż się wreszcie zesili, wzmocni i utrwali.

Masz i ducha, masz i dar — idź przed twoim zbozem
Z pochodnią Prawdy Bożej i prowadź do celu
Wytrwale swoją trzodę Chrystusowym torem...
A światłem wiary prawej świeć w twym *Przyjacielu*,
A wtedy w sercach ludzkich zakwitnie pobożność,
A ustąpi grzech wszelki i sprośność i zdrożność.

Masz i ducha, masz i dar — bierz więc przodownictwo,
A my pójdziem za tobą siłą nieprzepartą;

Nawoływaj do walki za ojców dziedzictwo,
Które nam, prawym dzieciom, niegodnie wydarto,
Nawoływaj, abyśmy cudzym nie służyli,
Ale w domu ojcowskim jako wolni byli.

Niech twe słowo, twe *Pismo* ustawicznie wzywa
Stałych do wytrwałości, a smaga niedbałych.
A młodzież naszą porwij — niechajże się zrywa
Do lotu duchem — jako stada orłów białych!
Niechaj skrzydłem okrażą nasze społeczeństwo
Polskie i niech mu rychłe wywalczą zwycięstwo!

A *wywalczą* zwycięstwo! Każda dobra sprawa
Zwycięży, byle wiarę mieli jej szermierze;
Bo chociaż będzie praca i krwawa i łzawa,
To się przecie przy żniwie kłos obfity zbierze.
A wtedy cię potomność dla twych zacnych czynów
Uczci i do najlepszych swych zaliczy synów.

NA WALNEM ZGROMADZENIU
TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO W CIESZYNIE.

—co—

Znów nam dzień jeden zeszedł i jaśniej
Przed okiem naszym jak szczęśliwy przełom,
Przez który pójdą naszej ziemi dzieje
Ku dalszym pracom, zdobyczom i dziełom.

Zdawna ojczystej sprawy przyjaciele
Tęsknili za nim jak gdyby za cudem —
Pragnęli bowiem, by nauczyciele
Szli w narodowej pracy ze swym ludem.

Dziś ten dzień spłynął. — Z tobą ludu śląski
Idziemy odtąd razem, jak należy,
Idziemy z tobą pełniąc obowiązki
Prac wychowawczych koło twej młodzieży.

Idziemy razem z twą wiarą, co Bogu
W piersi pobożnej stawia ołtarz chwały;
I z twą miłością ojczystego progu,
Gdzie się zwyczaję dawne przechowały;

Razem z twą pieśnią, co cię uwesela,
Gdy w ciężkiej pracy stoisz na swej roli,
Co ci zapału i siły udziela,
W walce wyzwoleń z tej twojej niedoli.

O, razem z tobą! Bo czyż to jest zbrodnią,
— Gdy polityce nie dawając ucha, —
Idziem przed ludem z postępu pochodnią
O jego tylko dbając sprawy ducha!

Czy to jest zbrodnią, gdy idziemy pierwsi
W szeregu pracy w chwili odrodzenia; —
Gdy wychowujem u ojczyzny piersi
Na dzielny naród młode pokolenia!

Wpajając w serce, które jeszcze drzemie,
Tę miłość świętą, szlachetną, natchnioną,
Którą rodzinną ukochają ziemię
I dom ojcowski i bracią rodzoną.

Wpajając w serce, że najmiłsze duszy
Są polskiej mowy precudowne dźwięki,
Że nic tak piersi naszej nie poruszy,
Jak nasze miłe ojczyste piosenki!

Toć to nie zbrodnią, ale powinnością
Świętą i prawem! A więc idźmy śmiało,
Sami najczystsza gorejąc miłością, —
W pracy duchowej z pożytkiem i z chwałą!

Do nowej zorzy, do nowego świtu
Zdążajmy ręka w rękę z naszym ludem:
A pośród niebios ślicznego błękitu
Zejdzie dzień nowy, zejdzie — Bożym cudem!

Zejdzie dzień nowy, a piękny, a jasny,
Słońcem wolności zagrzeje, zaświeci,
Zbudzi z uśpienia — i na ziemi własnej
Siędą spokojnie — wolne nasze dzieci!

ŚLĄSKIEJ DZIATWIE NA NOWY ROK.

Moja ty dziatwo, luba i droga,
Z tym Nowym Rokiem proszę ja Boga,
Aby rodziców twych ci zostawił
Znowu w tym roku i błogosławił!
Bowiem rodzice, kochane dziecię,
To twój największy skarb na tym świecie!

Albowiem z nimi wszystkiego zadość,
Jest spokój, szczęście, wesołość, radość,
Błogosławiona we wszystkim sytość,
Wszelka napoju, chleba obfitość.
Są wszelkie życia twego wygody,
Którymi pieścą, niańczą wiek młody;
Jest ciepło serca, miłość, pieśczoć,
Którymi wiek twój piastują złoty.
I jest ta miłość, jest wiara święta,
Którą składają ci twe ręczęta
Do tej gorącej, wielkiej modlitwy,
Co ci wśród życia starczy gonitwy,

Co ci w żywota starczy szermierce,
Abyś od grzechu uchował serce.
Słowem, jest owa pobożność, cnota,
Co cię ustrzeże zmazy żywota,
A z którą przejdiesz przez życie całe
Bogu na chwałę, braciom na chwałę!

Lecz bez rodziców sieroctwa losy
Ciebie czekają! Jak kwiat bez rosy
Uwiędnie, zginie w słońca spiekocie,
Tak przyjdzie zmarnieć biednej sierocie!
A więc dziateczki, więc na kolana!
Złóżcie rączęta i niebios Pana
O zdrowie waszych rodziców proście!

Ale mi także dziateczki roście
W łasce u Boga, w łasce u ludzi.
Niechaj się wczesnie w serduszkach budzi
Cnoty i piękna umiowanie,
Ojczystej strzechy wielkie kochanie,
Stałe we wierze świętej wytrwanie;
Niech w waszym rośnie serduszkach, dziatki,
Miłość dla ojca, miłość dla matki
I cześć dla waszych nauczycieli.
A ojciec z nieba niech wam udzieli
Wiernej pamięci, chęci, pilności
I tej szczęśliwej Ducha zdolności,
Co tylko nauk pragnie zdobyć.
A wreszcie niech wam Pan Bóg użyczy

Zdrowia i siły; niech waszej skroni
Jasnej, niewinnej od nieszczęść broni,
Byście w młodości pięknej, szczęśliwej
Weszli na dalsze żywota niwy!

PIEŚŃ NA ŚWIĘTO ŻNIWOWE.

O Panie! wejrzyj łaskawie z niebiosów
Na lud Twój wierny, co przed Twe ołtarze
Spieszy z wieńcami zboża pełnych kłosów,
I przed Twą twarzą składa ci je w darze
Z podziękowaniem, radością i śpiewem,
Żeś go obfitem obdarował żniwem.

Panie! Tyś łaskę Twoją nam objawił
I wsławił jawnie Twoje święte imię,
Bowiemeś rok ten tak ubłogosławił
I tak użyźnił matkę naszą ziemię,
Że kiedy łono swoje otworzyła,
Lat przeszłych nędzę hojnie nagrodziła!

Jak anioł jasny siedł ten rok po ziemi
Z dniami cudownej, prześlicznej pogody,
A choć i burza szła niekiedy z niemi,
Strwożyła tylko, nie zrobiwszy szkody —
A oto wytrząśł z obfitości czary
Na łono nasze zacne Twoje dary!

O Panie! łaska Twa wielka i litość
Sprawiła koniec już naszej niedoli;
A za tę plonów hojność i obfitość
W naszych ogrodach, na łąkach, na roli,
Za twoje wierne ojcowskie staranie
Weź duszy naszej dzięki i śpiewanie.

Lecz Cię prosimy, łaskawy nasz Boże,
Pozwól nietylko dary Twoje złożyć
Szczęśliwie w gumnach, spichrzu i komorze,
Ale je także daj we zdrowiu spożyć
I ich użyciem duszę rozweselić,
A z bliźnim naszym w potrzebie się dzielić.

Panie! nie chlebem żywim się jedynie,
Lecz nam też słowa Twojego potrzeba;
Ach! wzbudź nam w sercach ku niemu pragnienie
I naszych myśli skieruj lot do nieba —
A gdy się skończy bieg nasz na tej ziemi,
Chlebem niebieskim syć nas z zbawionymi!

NA DOŻYNKĘ.

Po nagiem ścierniu smutny wietrzyk wieje,
Za zbożem tęskni, z którem sobie gadał
I za kwiatami, z którymi się pieścił;
Och! przyszli żęncy i skosili wszystko;
Z ostatnią furą już spieszą do gumien
I niosą wieniec i pieśni śpiewają.

Wieczór już zeszedł. Na gwiazdzistym niebie
Nowy miesiączek zachodził powoli
I jasnym sierpem błyskał nad gwiazdami,
Jako żniwiarka nad zeżętym łanem.
Zaszedł nareszcie i gwiazdy zostały
Jak gdyby złote, niezmierne ściernisko...

W podwórko weszli żęncy i gospodarz
Stanął na progu i śpiewania słuchał,
I życzeń słuchał i kłosiany wieniec
Z rąk przodownicy odebrał uprzejmie
I nade drzwiami świetnicy zawiesił,

A żeńców chlebem obficie uraczył,
A Bogu w niebie dał podziękowanie:

Panie żywota! Tyś nam znów w tym roku
Obfite Twoje dał błogosławieństwo,
Dałeś też siłę, aby sprzątnąć zbiory,
Aby tym zbiorem komory nappełnić.

O! Tyś zaradził braku rąk roboczych,
Boś nam posyłał ciągle dni pogodne,
Co jako pilne robotników rzesze
Pomogły zeżąć kłosa naszych łąnów
I ciężkie snopy sprzątnąć z pól pomogły.

Dzięki Ci, Boże, za ten chleb powszedni,
Dzięki Ci, Boże, za tę pomoc Twoją,
Dzięki Ci, Boże, za dobrodziejstw tyle!

Ale, o Panie! są też inne kłosa,
Co giną marnie z braku robotników,
Co przepadają we ślocie i burzy,
Co, by je sprzątnąć daremnie czekają!
Rąk silnych trzeba i serc silnych trzeba,
Wzbudź je i wypchnij na żniwo, o! Panie,
A ojców naszych zostanie dziedzictwo,
A Twoje święte królestwo zostanie!

CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ.

(Pamięci syna Lolka).



Cudowna słońca wiosennego władza
W całą naturę wlewa nowe życie,
Ziemia się w stroju kwiecistym przechadza,
Śpiewem skowronków wydzwania w błękicie.

I w całym świecie brzmią pieśni wesela,
Że srogiej zimy pękły już ogniwa...
I człowiekowi radość się udziela
I do uniesień piersi mu porywa.

Ale mnie smutno! Mnie ten świat uroczy
Tylko boleści łączy ciśnie na oczy;
I swą pięknnością trwoży i przeraża...
Myśli me lecą wciąż w stronę cmentarza,
Gdzie w cichym grobie śpi moje kochanie.
Idę tam... stoję... piersi targa łkanie
I boleść wielka wstrząsa wszystkie nerwy.
I szepczę cicho: Ty śpisz, a na łące

Kwitną już kwiatki i śpiewają ptaszki,
Chodź do swej zwykłej niewinnej igraszki —
Lecz ty śpisz cicho, spisz sobie bez przerwy,
A niema końca tej smutnej rozłące...

W tem dzwony jęczą i pomiędzy groby
Płynie spokojnie — zwykła pieśń żałoby; —
Lecz nie! to jakiś głos inny, głos mocny,
Że drga i trzęsie się rola cmentarna;
Ach! to głos wielki, to hymn wielkanocy:
Chrystus zmartwychwstał!

Znika ból okrutny,
I znika boleść, rozpaczą ciężarna; —
O! Jezu Chryste, nie będę już smutny,
Boś ty grób ciemny zamienił na łożę,
W które po pracy życia ~~nie~~^{się} położę;
A gdy w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Przy trąb odgłosie i grzmotach i błysku
Sen śmierci z naszej otrząsiem powieki,
Wtedy nastąpi chwila powitania,
Wtedy w serdecznym, radosnym uścisku
Będziem już z sobą złączeni — na wieki.



ANIOŁ STRÓŻ.



Matka na ręce dziecinę bierze,
Tuli do łona i pieści,
Każdego kroku słabego strzeże
Od nieszczęść i od boleści.

A gdy znów samo wybiegnie z chatki
Zrywać kwiateczki na łączkę,
Wtedy stróż anioł, siostrzyca matki,
Bierze go lekko za rączkę.

I nad przepaścią i nad padołem,
Nad brzegiem głębokiej wody
Idzie dziecina z swoim aniołem
Wolna od wszelkiej przygody.

Gdy na młodzieńca wyrośnie z laty
Dziecię i w Boży świat ruszy,
Idzie i anioł z nim z ojców chaty
I strzeże serca i duszy.

Strzeże od nieszczęść, od grzechu strzeże,
Za to nauczaj, jak z młodu
Służyć swej braci, stać w ojców wierze
I cnocie swego narodu.

Toż będąc mężem, pracować będzie
Swemi siłami wszystkimi,
Dopóki wszystkich praw nie zdobędzie,
Wszelkiej swobody swej ziemi.

A kiedy z czasem starość nadpłynie,
Kiedy na pamięć przywoła
Wszystkie swe czyny — to w każdym czynie
Znajdzie myśl swego anioła.

Śnić będzie o nim, a przy swym skonie
Jak to zwyczajem jest dzieci,
Spocznie spokojnie na jego łonie,
I z nim do nieba uleci.

OJCOWSKI DOM.

(Podług czeskiego).

Ojcowski dom to istny raj,
Dar ojca niebieskiego,
Chociażbyś przeszedł cały świat,
Nie znajdziesz piękniejszego!

Tuś się dziecino pierwszy raz
Do matki uśmiechnęła;
Tuś się uczyła Boga znać,
Tuś modlić się zaczęła.

Tutaj na każdym kroku cię
Oczy ojcowskie strzegły,
Tutaj w zabawach ciągłych ci
Dni twoje młode biegły.

A gdy ci przyjdzie wyniść stąd
I odejść w świat daleki:
Ojcowski dom, dziecino miej
W pamięci twej na wieki.

GDZIEŻ JEST MÓJ DOM?

(Podług czeskiej pieśni).



Gdzież jest mój dom, gdzie moja włość?
Wody huczą, szumią lasy,
Lśnią się błonia pełne krasy,
Błyszczą kwiatem każdy gaj;
Ten cudowny, boży raj,
To kochana śląska ziemia
(Dom ojczysty, moja włość!)

Gdzież jest mój dom, gdzie moja włość?
Beskid bieży hen w półkole,
A jak wstęga mu na czole
Błyszczą Wisła, spada w dół,
Srebrzy się wśród niw i siól...
To jest moja śląska ziemia
(Dom ojczysty, moja włość!)

Gdzież jest mój dom, gdzie moja włość?
Wsie się bielą, bielą miasta,
Stary Cieszyn z wieżą Piasta

Siadł nad Olzą i snąć śni
O minionych chwale dni...
To jest śląska moja ziemia
(Dom ojczysty, moja włość!)

Gdzież jest mój dom, gdzie moja włość?
Gdzie lud polski gospodarzy,
I gdzie mowę polską gwarzy,
I gdzie słyhać polski śpiew
W kole chłopców, w kole dziew,
Tu kochana moja ziemia,
(Ziemia ojców, ojców włość!)

NASZA ŚLĄSKA ZIEMIA MIŁA.

(Podług czeskiego).

Nasza śląska ziemia miła,
To prawdziwy raj,
O, jabym nie zamieniła
Jej na żaden kraj.
Jabym w świecie nie zmieniła
Jej na żaden kraj.

W gaju wdzięcznie słowik śpiewa,
A bielutki kwiat
Jak śnieg świeży przyodziewa
Naokoło sad,
Jak śnieg świeży przyodziewa
Naokoło sad.

W śląskiem sercu jasno, rażno,
Czysta w ciele krew,
Wszędzie gwarno i hałaśno,
Wokół tylko śpiew,
Huczno, gwarno i hałaśno,
Wokół tylko śpiew.

Nasza śląska ziemia miła
Czyli to nie raj?
O, jabym nie zamieniła
Jej na żaden kraj,
Jabym w świecie nie zmieniła
Jej na żaden kraj.

Nasz Śląsk drogi, kraj rodzinny,
To prawdziwy raj!
Jabym go na żaden inny
Nie zamienił kraj;
Za nic w świecie go na inny
Nie zamienię kraj.



PRZYPISY.

Do str. 3: Olza, rzeka, przepływająca Księstwo Cieszyńskie, dopływ Odry. W roku 1900, w «Miesięczniku Pedagogicznym», organie Polskiego Tow. Pedagogicznego na Śląsku, wszczął się spór, czy nazwa owej rzeki ma brzmieć: Olza, czy Olsza. Opini pierwszej bronił bezimienny «Świbiczanie» (nr 2, str. 22 i 23, nr 4, str. 46 i 47), drugiej zaś pp.: ówczesny dyrektor gimnazjum polskiego w Cieszynie, Piotr Parylak (nr 3, str. 34 i 35), oraz prof. Michał Janik (nr 4, str. 47 i 48). Ks. Antoni Macoszek w swoim «Przewodniku po Śląsku», wydanym przez lwowskie Towarzystwo wydawnicze (Lwów 1901, str. 12 i 13) broni brzmienia: Olza. Naukową wartość mają wywody pp. Parylaka i Janika. Na życzenie autora zachowujemy w wydaniu niniejszem brzmienie: Olza.

Do str. 8: Piosnkę «za górami torka, nie żrzało je, nie żrzało je, sąsiada pasterka ospało je, ospało je» — śpiewają pasterze, którzy wcześniej wypędzili bydło na paszę, tym, którzy spóźnili się z wypędzeniem.

Do str. 9: Św. Urbana 25 maja.

Do str. 9: Tatarkę, czyli hreczkę, nazywają na Śląsku poganką — krupy hreczane kaszą pogańską.

Do str. 12: Ćma = ciemność; wyrazu tego lud polski na Śląsku stale używa w znaczeniu ciemności (por. u Mickiewicza: ciemność = oćma). Ob. Słownik jęz. pol. Karłowicza, p. w. ćma.

Do str. 12: Kapusta światła t. j. kapusta biała; podobnie chleb światły, mąka światła.

Do str. 19: Grocica t. j. drewniane naczynie, szaflik. Ob. Słownik jęz. pol. Karłowicza, p. w. gracica.

Do str. 19: Świetnica = świetlica.

Do str. 19: Spencer, rodzaj krótkiego surduta, był częścią składową stroju ludowego w Księstwie Cieszyńskim, dziś już rzadko używanego.

Do str. 19: Lemiec = kołnierz; por. lama z arabs. lamij = lśniący.

Do str. 20: «Kancyonał z Dambrowskim» — wśród ludności polskiej ewangelickiej w Księstwie Cieszyńskim jest rozpowszechniona «Postylla ks. Samuela Dambrowskiego, superintendenta zborów ewang. a. w. na Litwie i Żmudzi» (różne wydania). Por. ks. Józef Londzin: Kilka druków śląsko-polskich z zeszłego i z pierwszej połowy bieżącego stulecia. Sprawozdanie prywatnego gimn. polskiego w Cieszynie za rok szkolny 1897/8, str. 19. Kancyonały były dawniej czeskie, mianowicie układu Jerzego Trzanowskiego. Dziś są w użyciu kancyonały polskie ks. Heczki z Ligotki i inne.

Do str. 28: Utopiec = topielec.

Do str. 28: Ksebe, nimfa wodna, która topi ludzi. Autor słyszał podania o niej w dzieciństwie.

Do str. 33: Czytelnia ludowa w Cieszynie, założona w r. 1861, otwarta uroczyście przez ówczesnego burmistrza L. Kluckiego w d. 7 grudnia r. 1861. Ob. Pamiętnik Czytelni ludowej w Cieszynie na Śląsku austriackim, wydany z powodu 25 letniego jej jubileuszu, Cieszyn 1887, oraz «Z Pamiętnika dra Andrzeja Cinciały», wydał dr Jan Bystrzeń, Cieszyn 1900, str. 56—59, a także «Gwiazdka Cieszyńska» z dnia 7 grudnia 1861 i z dnia 7 oraz 14 grudnia 1901.

Do str. 68: *Nordmark*, stowarzyszenie wszechniemieckie, pracujące nad germanizacją Śląska, a opierające się o związki wszechniemieckie.

Do str. 90: Podobne *signy* pamiętają jeszcze z czasów panowania germanizacji w Galicji.

Do str. 123: Ś. p. ks. dr Leopold Otto, (Warszawianin † 1882) zasłużony pastor zboru ewangelickiego w Cieszynie, później w Warszawie.

Do str. 124: «Przyjaciel ludu», pismo wydawane w Nawsiu przez ks. Franciszka Michejdę.

Do str. 133: Towarzystwo rolnicze śląskie z siedzibą w Cieszynie, jedno z najstarszych stowarzyszeń polskich w Księstwie Cieszyńskim.

Do str. 137: Ks. Franciszek Michejda, pastor zboru ewangelickiego w Nawsiu, jeden z najwybitniejszych przywódców ludu polskiego w Księstwie Cieszyńskim, założyciel i redaktor «Rolnika Śląskiego, organu wspomnianego Towarzystwa rolniczego, oraz «Przyjaciela ludu», organu wyznaniowego ewangelików polskich na Śląsku.

Do str. 145. Gimnazjum polskie zostało założone przez Macierz szkolną dla Księstwa Cieszyńskiego w jesieni r. 1895.

Do str. 151: Zbór nawiejski — w Nawsiu obok Jabłonkowa.

Do str. 158: Towarzystwo Pedagogiczne na Śląsku, organizacja polskich nauczycieli ludowych, założona została w r. 1896. Do założycieli należał Jan Kubisz, który jest także współpracownikiem organu Towarzystwa, «Miesięcznika Pedagogicznego», założonego przez jego imiennika, Jerzego Kubisza.



SPIS RZECZY.

	I. DWA DNI	Str.
Dwa dni. I.		3
II.		16

II. WIERSZ

Na dwudziestopięcioletni jubileusz Czytelni ludowej w Cieszynie	31
---	----

III. SYN MARNOTRAWNY

Syn marnotrawny	53
---------------------------	----

IV. ŚPIEWY STAREGO JAKÓBA

Wstęp	77
I. To Niemiec	84
II. To Polak	89
III. Ziemia nasza	93
IV. Nad Olzą	97
V. Nie mogliście jednej godziny czuć ze mną?	99
VI. Zakończenie	103

V. MOJŻESZ

Mojżesz	107
-------------------	-----

VI. WIERSZE RÓŻNE

Pierwiosnek	115
Do Młodzieży śląskiej! Na uroczystość Mickiewicza	117

	Str.
Rolnik śląski	120
Ks. dr L. Ottonowi przy pożegnaniu	123
Przychodzę do Was	125
Do naszych przyjaciół	130
Jubileuszowe pozdrowienie	133
W album ks. Fr. Michejdy w Nawsiu	137
Woda ze skały	145
Toast. (Na uczcie z powodu otwarcia gimnazjum polskiego)	148
Zborowi Nawiejskiemu. (Na stuletnią rocznicę)	151
Na jubileusz ks. Fr. Michejdy z Nawsia	155
Na Walnem Zgromadzeniu Tow. Pedagogicznego w Cieszynie	158
Śląskiej Działwie na Nowy Rok	161
Pieśń na święto żniwowe	164
Na Dożynkę	166
Chrystus zmartwychwstał	168
Anioł Stróż	170
Ojcowski dom	172
Gdzież jest mój dom?	173
Nasza Śląska Ziemia miła	175
Przypisy	177

